CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII **ŚWIAT** № 43

WARSZAWA, DNIA 22-go PAŹDZIERNIKA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



Ostrożnie!: Ameryka się zbliża

W dzisiejszym zeszycie „Świata" rozpoczynamy serję felietonów paryskich świetnego publicysty, Henryka Korab Kucharskiego, redaktora „Matin'a, który przyrzekł nam stałe współpracownictwo.

Od pewnego czasu, gdy wyjdę wieczorem na balkon, przecieram oczy. Na odległym widnokręgu bieli się, jak zwykle, wysoka sylweta Bazyliki, ale za nią, tam, gdzie dawniej już była tylko ciemność, coś jeszcze się majaczy. Niebo poszpilkowane jest światełkami na kwadratowo, tak jak ongi te dziurawe widokówki, które, podsunięte do lampy, zamieniały się w wenecką galówkę. Skąd ta inowacja?

Jeden z mych gości, człowiek solidny i dobrze poinformowany, wyjaśnił:

— To są maszty sygnalizacyjne portu lotniczego w Bourget...

Tłumaczenie to nam nie odpowiadało. Zresztą po wieczerzy sprawa przedstawiła się zgoła inaczej. Zaznaczyć wypada, że odpowiednia ilość Chambertin'u z roku 1911-ego przyczyniła się do zaostrzenia naszej intuicji a nieco Lanson père et fils (również z tego błogosławionego roku 1911-ego) ściągnęło z nas wszelką pedanterję, tak jak zeschłą skórę z węża.

— Ależ przyjacielu,—huknął naraz Francisco.—To, co my tam widzimy, to jest poprostu tamta strona Wisły!...

Że był w polskim domu ten człowiek, dobrze wychowany, użył polskiej metafory.

— Cóż ty nazywasz tamtą stroną Wisły?

— No to, co my nazywamy w Paryżu „tamtą stroną kałuży ze śledziami"... Drogi przyjacielu, tam, tam na horyzoncie to poprostu „skajskrypery", Nowy York, nowoczesne olbrzymy, tamten brzeg Atlantyku! Ameryka jedzie, zbliża się!...

— Masz rację, rzekłem smętnie, ale nic na to nie poradzimy... Możnaby zaalarmować najbliższą stację strażacką, ale to biegowi wypadków nie przeszkodzi. Drogi przyjacielu, możemy sobie powinszować, dojrzeliśmy na niebie *wielki decydujący znak czasów...*

***

Dokonaliśmy tego niebywałego odkrycia na wiosnę. Od tego czasu nie było dnia, bym nie stwierdził, jak głęboką ujawniliśmy prawdę.

Ameryka zbliża się, zbliża się w niebywale szybkiem tempie. Niewiadomo, co z tego wyniknie. Niedawno jeszcze, przed samą wojną, gdy tak się spojrzało na Amerykę z wielkich bulwarów, to wydawała się ona nam krajem niewątpliwie zamożnym, ale przeznaczonym raczej dla kolonizacji i tak djabelnie odległym. Z Ameryki przyjeżdżali do nas tylko panowie, których stać było postawić na jedną kartę, w kasynie w Cannes, sto tysięcy franków, oczywiście złotych. Na tysiące europejskich nędzarzy posyłanych za ocean Ameryka odsyłała nam, tytułem rewanżu, jednego miljardera. Zresztą mało nas ci miljarderzy wzruszali. Nikt tych pieniędzy nie potrzebował, chyba że Rosja, ale ta wszak gospodarowała we francuskich kieszeniach.

***

Dziś nastąpił dziwny fenomen. Do Ameryki, tam i nazad, jedzie się jak z Warszawy do Płocka. Przyznam się nawet — nie znając urządzeń naszej żeglugi — że łatwiej bym się wybrał na tamtą stronę „kałuży ze śledziami", niż w podróż wiślaną.

Proszę siąść spokojnie na tarasię „Café de la Paix" lub „Café Napolitain". Idę o zakład, że najpóźniej po godzinie podsłyszy pan taki djalog:

— Przyjechałem przed godziną, przepraszam, że się spóźniłem na rendez-vous, ale przed dworcem był taki natłok samochodów, że nie można się było wydostać. Rzeczywiście, najcięższa część podróży między Nowym Yorkiem a Paryżem to przejazd z gare Saint Lazare do kawiarni.

A na to zagadnięty:

— Jeżeli się pan wstrzyma z powrotem do końca przyszłego tygodnia, to pojedziemy razem...

Tak się to dzieje. Z Nowego Jorku naznacza się wprost spotkanie na tarasie paryskiej kawiarni, narażając się na wymówki z powodu półgodzinnego spóźnienia.

*
* *

Gdy „speaker" Matin'a, głosem wzdętym, jak przez trąbę jerychońską, zaczął grzmieć poprzez zatłoczone zbitym tłumem bulwary, wieszcząc, że samotny lotnik amerykański zbliża się, zbliża się coraz bardziej, powiało ulicą dziwne niepokojące wzruszenie. Patrzałem z blizka na tę ostro oświetloną mozajkę głów. I naraz tu, tam zadrgały powieki, ścięgna na policzkach: panie i panowie w różnych latach zaczęli poprostu beczeć, a łzy spływały, że tak powiem, na własną rękę, gdyż w ścisku nie było się jak bronić, a o wyciągnięciu chusteczki nie mogło być nawet mowy... Dziwna kakofonja wielkomiejskiego przejęcia: jedna twarz we łzach, druga czerwona, rycząca, otwarta, a z tej znów białej brody chrypie Marsyljanka, przyczem, oczywiście, baby mdleją.

Coś podobnego widziałem tylko 11 listopada 1918 roku, kiedy walono z armat bezustanku, a poważni panowie wdrapywali się na wysokie bulwarowe kasztany zgoła niepotrzebnie, tak sobie, dla szału, dla poezji.

Takie napięcie następuje zatem rzadko. Dlaczegoż tego wieczoru?... Gdyby tak można było spytać tej profesjonalnej trotuarowej piękności rozszminkowywanej przez wyciek szluzowy:

— Co tam pani w sercu puka?..

— Czy ja wiem... — odpowiedziałaby — może dlatego, że taki człowiek sam, samiuteńki fruwa nad ciemnym oceanem.... albo może... nie wiem... Taki nastrój...

Pozwólcie, że się wkradnę na salę i że odpowiem za damę:

— Wzruszyło ich poczucie *historyczności chwili*...

Kto z nas przez okno paryskiej suteryny, nad rankiem, z nocnej wracając wyprawy, nie patrzał z zaciekawieniem, jak półnagi piekarz fabrykuje nasz chleb powszedni? A cóż dopiero patrzeć i widzieć gołem okiem, jak się fabrykuje historja, to, czego setki miljonów dzieci uczyć się będą w podręcznikach.

Zresztą bodaj, że i sam Lindbergh to odczuł. Zamieniłem z nim kilka słów, gdy odwiedził moją redakcję.

— Pierwszą moją troską, gdy wylądowałem, rzekł mi, było się dowiedzieć, czy jestem w Paryżu; potem bałem się o mój aeroplan, następnie poczułem się zmęczony i naraz, już w łóżku, chwyciła mnie jakaś nieznana gorączka. Zrozumiałem, że stało się coś nowego.

Ludzie niezawsze sobie z tego zdają sprawę. Gdy o północy roku 1453-ego Turcy wdarli się do Byzancjum i wkroczyli z obnażonemi szablami do kościoła świętej Zofji, nikt tam napewno nie zrozumiał, że, wraz z dwunastem uderzeniem zegara kończą się wieki średnie, a zaczynają się czasy nowe.

My natomiast wiemy doskonale, że rozpoczyna się wiek najnowszy.

*
* *

Takie to były nastroje, gdy w końcu zeszłego miesiąca nastąpił najazd amerykański na Francję. Zwaliło się za jednym zamachem trzydzieści tysięcy chłopa. Przedstawiciele wszystkich stanów amerykańskich, odpowiednio umundurowani, przemaszerowali przez cały Paryż, obramowani niezliczoną ilością gapiów.

Przedewszystkiem można było się przekonać, że jeden człowiek niejednokrotnie wart jest więcej, niż 30 tysięcy. Niewątpliwie bowiem, Lindbergh sam jeden większe zrobił w Paryżu wrażenie, niż trzydzieści tysięcy ludzi ze sztandarami 47-iu stanów, orkiestrami, jazz - bandami, tresowanemi zwierzętami. Pozatem są ludzie, którzy twierdzą, że przyjęto ich chłodno. Nie powiem. Przyjęto ich z zastanowieniem.

— Po co się przystroili w mundury? — szeptano w tłumie.

Bo jeżeli w Polsce radykalizm polega na guście do szlif i błyszczących guzików, to tu jest wręcz przeciwnie.

— Pan nie lubi mundurów? — spytałem się przedmówcy, poczciwego, starszego już robotnika.

— Bardzo szanuję, ale właśnie dlatego uważam za niewygodne spotykanie tak bardzo szanowanych rzeczy w codziennem życiu. Cenię dyskrecję naszych francuskich oficerów, którzy przewijają się przez ulice w cywilu. Dzięki temu mundur we Francji stał się przywilejem strzelców od Maxim'a i Ciros'u, tudzież koniecznością dla konduktorów tramwajowych. Nie wiem, do której kategorji mam zaliczyć tych panów z Ohio i Massashussetu... Zresztą te mundury są podwójnie śmieszne, gdyż zgoła niepotrzebne. Każdy i bez tego pozna po ich gębach, że to Amerykanie...

Rzeczywiście po dziesięciu latach ex-wojacy amerykańscy, mimo tylu na nich się składających ras, dziwnie do siebie byli podobni: różowi, brzuszkowaci, łysiejący, podtatusiali... Sportowości żadnej ani śladu. Coprawda, wybrano pono ludzi „typu pacyfistycznego", aby przy nieuniknionych libacjach paryskich nie rozbito zbyt wielu szyb i zębów....

*
* *

Przez dwa tygodnie spotykano wszędzie czapki ze złotemi napisami: Colorado, Georgie, Detroit... W najodleglejszych dzielnicach — coprawda dziś Paryż jest tak zdecentralizowany, że o piętnaście wiorst od Opery można wraz ze zdziwieniem znaleźć skrzącą się światłami kawiarnię, inne zgoła ceny, inną wymowę, inną publiczność, tylko te same afisze, przypominające, że się jest w tym samym kraju — natrafiało się na zawieruszonych amerykan, często pijanych, zawsze spokojnych. Pogubiło się ich zresztą całe tuziny. Organizatorzy szukali ich drogą drobnych ogłoszeń w pismach....

I wszyscy, na Montmartrze, na Montparnasie, w Belville i na Montrouge'u mawiali „unissono":

— Wrócimy do waszej Europy.. można tu robić świetne interesy... ...tego nie wiecie... tego nie znacie... to wam można sprzedać....

*
* *

—Ameryka się zbliża — rzekł mi francuski miljarder i niebywale rzutki przemysłowiec, pan Ludwik Loucheur. — Jeżeli się nie weźmiemy do roboty, jeżeli nie zreorganizujemy Europy, to wiek dwudziesty zwać się będzie wiekiem nowym, zawojowania Europy przez Amerykę....

* *
*

SERCE TADEUSZA KOŚCIUSZKI PRZENIESIONE Z RAPERSWILU DO WARSZAWY



Na Placu Zamkowym w Warszawie na tle kolumny Zygmunta III. Oddział szwoleżerów eskortuje powóz, w którym znajduje się urna z sercem Kościuszki. Asystują 4 oficerowie, w tem 2 Polaków i 2 Szwajcarów



Urna z sercem Kościuszki w Kaplicy Zamkowej

Na polach Elizejskich zwalono trzy domy. Na ich miejscu staną „buildingi", w których się będą produkować amerykańskie towary a przedewszystkiem samochody. Już dzisiaj mimo kolosalnych ceł „CHrysler six" jest tańszy od odpowiedniej kategorji maszyny francuskiej. Tańsze jest zresztą również amerykańskie zboże.

Dlatego to witaliśmy legjon amerykański z radością ale jednocześnie z jakimś początkiem dreszczu obawy. A może takie same odczuwacie wrażenie, inkasując owe 75 miljonów dolarów?...

***

Odkrycie, którego dokonaliśmy z mych okien, kiedy na ciemnem niebie paryskiem błysnęły nam miljardy okien ferobetonowego nowojorskiego wybrzeża, równe jest niezawodnie w swych skutkach odkryciu Krzysztofa Kolumba. Rok 1927-y zapisze się w historji obok roku 1492-ego. Tym razem jednak nie my do Ameryki, ale Ameryka ku nam popłynie.

Henryk Korab Kucharski

Paryż, w październiku.

GRUPA PRZEDSTAWICIELI BANKÓW AMERYKAŃSKICH, KTÓRZY PODPISALI UMOWĘ POŻYCZKI



Dnia 15 b. m. wyjechali z Warszawy finansiści amerykańscy, pp. Monet i Fischer, żegnani przez liczne grono osób, z któremi w czasie krótkiego pobytu zdołali zawrzeć bliższe stosunki towarzyskie. Odjeżdżających żegnał między innymi vice-prezes banku Polskiego, p. Młynarski Fot. Photo-Plat

NASZA KULTURA

Cywilizację poprzedza kultura. Bez kultury prymitywnej, tej wspólnej więzi obyczajów, powstanie cywilizacji, która jest pierwszą indywidualizacją kultury rasowej czy plemiennej, nie jest możliwe. Nim powstaje cywilizacja, czyli warunki i formy społecznego spółżycia, mającego w swych zadaniach rozwój i potęgę społecznej całości, istnieją obyczaje, czyli kultura, wyrażające charakter zawiązującego się społeczeństwa i nadające mu fizjonomję moralną. Obyczaje te w biegu dziejów przeobrażają się, przechodzą w formy szczątkowe, lub zanikają kompletnie; wspólne warunki życia cywilizacyjnego ujednostajniają powoli obyczaj moralny, i ten, choć istnieje poza kodeksami i przepisami, bardziej od nich obowiązuje w stosunkach wzajemnych i bardziej społeczeństwo cementuje, niż normy prawne. Dziś kultura, aczkolwiek początkową jej odrębność i jej elementy psychologiczne, oddziałujące w historycznym rozwoju, należy uwzględnić przy definicji narodu, jedna jest u narodów, należących do zachodniej cywilizacji.

Jedno jest pojęcie i poczucie honoru, wzajemny stosunek płci, stosunek do dzieci i istot słabszych, do upośledzonych od natury, lub dotkniętych nieszczęściem, jeden do tradycji, mieszczącej w sobie zarazem kult ojców, wszędzie ideałem kultury indywidualnej jest typ gentlemena, t. j. człowieka posiadającego wewnętrzną dostojność i poczucie godności swego *ja*. Typ kultury jest jednakowy, tylko różne są jej napięcia i wysokość poszczególnych jej stopni. Nie zapuszczając się w wywody historyczne, pragnę przejść odrazu do kwestji aktualnej, do stanu naszej kultury teraźniejszej.

Trzeba stwierdzić, jakiekolwiek przy tem stwierdzeniu miałoby się uczucie, że kultura nasza znajduje się w stanie rozstroju. Rzuca się w oczy przedewszystkiem obniżenie się humanitarności, która jest rezultatem długiej kultury i atmosferą, w której ta kultura rozwija się i prosperuje. Skutek niewątpliwie wojny, jednak humanitarność nie obniżyła się w Belgji, Francji i Anglji — wzrasta tam może statystyka przestępstw, co jest objawem innym — nie załamała się katastrofalnie w Niemczech, zamilkła natomiast w Rosji i ten to upadek sprawia, że z państwem sowietów opinja europejska pogodzić się nie może. Ciekawemi z tego względu są słowa Lloyd George'a w jednem z jego przemówień. „Wojna zdezorganizowała wszystko w sposób bez precedensu i powrót do normalnych warunków będzie nowem źródłem wstrząśnień. Przyjdą wielkie zaburzenia socjalne i ekonomiczne. Lecz co nas zwłaszcza interesuje, to rozciągłość zaburzeń moralnych i duchowych, sprawionych przez wojnę. Jest to czynnik, od którego zależy cała przyszłość W. Brytanji". Zachód może pogodzić się w Rosji ze wszystkiem, ale nie z tem jednem, wówczas bowiem cała jego dzisiejsza kultura skazanaby została na zagładę. Tego, co w Rosji, u nas niema — nie jesteśmy bolszewją — jednak, może to długi czas rosyjskiej niewoli sprawił, że i u nas ujawnił się brak poszanowania indywidualności ludzkiej, jako jednostki moralnej i jednostki fizycznej. Kronika policyjna i obserwacje feljetonistów przynoszą na to bardzo wiele przykładów, notowanych także przez prasę obcą. I dlatego rezolucja polskich dziennikarzy, kwalifikująca napastników „podszywających się pod hasło ideowe", ma także swoje zewnętrzne znaczenie, bo jeśli prasa cudzoziemska zajmuje się tak żywo napadem na jednego z redaktorów, to nie ze względu na jego osobę, lecz zaciekawiona, czy nie pękają u nas podstawy, łączące nas w jedną całość z Europą Zachodnią.

Rozpoławia się tradycja historyczna, będąca przecież jednym z czynników jedności narodowej. Naród dzieli się na dwie połowy — jedna legitymuje się Bolesławem Chrobrym, druga księciem Józefem. Stosunek do powstań polskich przeciw Rosji i do walki o polskość w Poznańskiem układa się według aktualnych sympatji i kształci dwie rozdzielające nas tradycje.

Zrozumiały jest oczywiście polityczny punkt widzenia, że insurrekcje polskie cementowały obrócone przeciw nam przymierze rosyjsko-pruskie, i że klęski nie mogą pobudzać do naśladowania, aczkolwiek powstanie listopadowe, gdyby nie brak w nie wiary wodzów, mogłoby się skończyć zupełnie inaczej; muszą być uprawnione jak najdalej idące poszukiwania historyczne i historyczna ocena wypadków; niemniej dążenia i usiłowania do stworzenia państwa polskiego, do ucywilizowania go, zagwarantowania jego bezpieczeństwa i wywalczenia go, gdy upadło, muszą mieć jedną moralną wartość dla całego polskiego narodu.

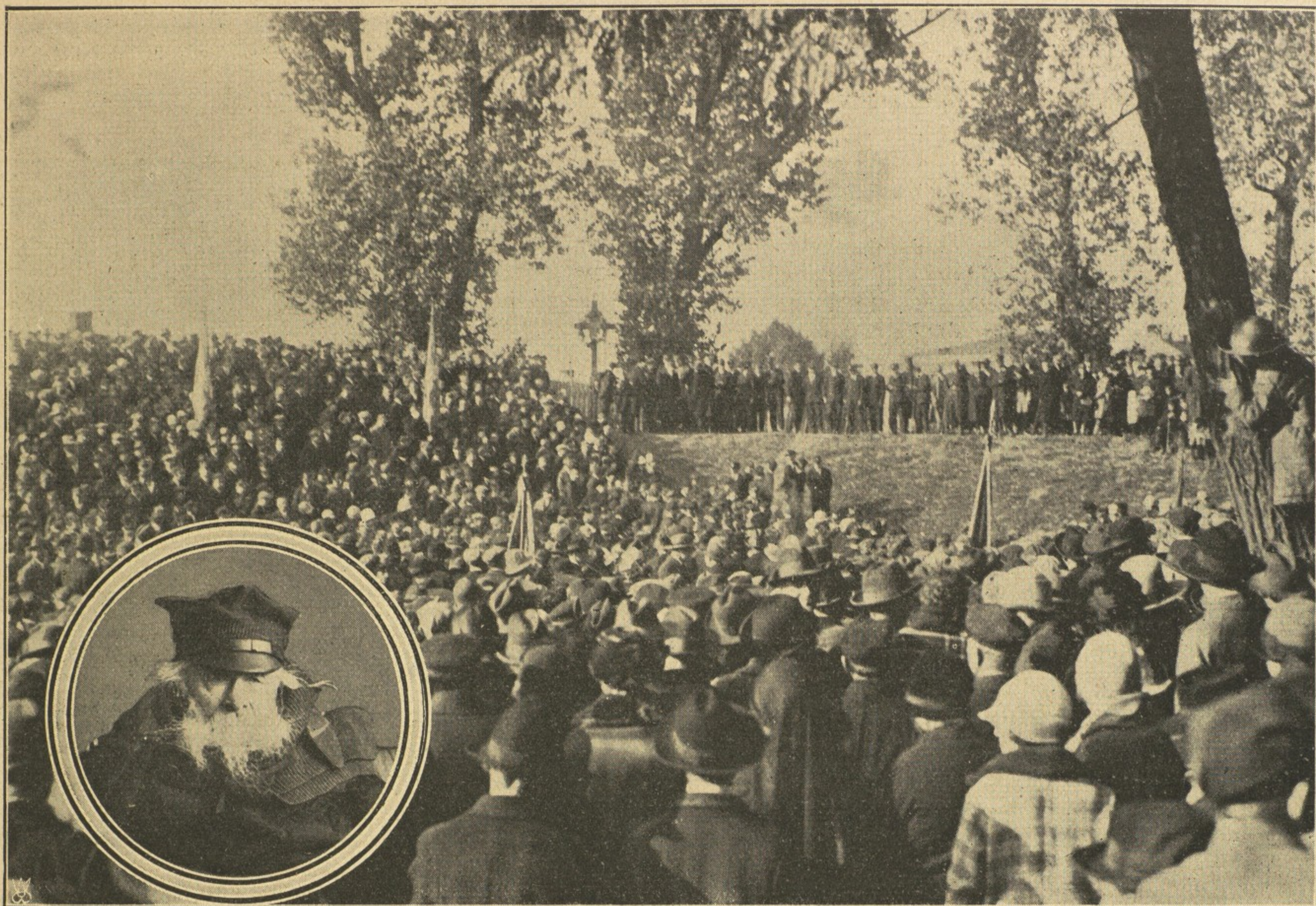
„Przyjmujemy *en bloc* rewolucję francuską" powiedział Clemenceau. *En bloc*, bo jakikolwiek był jego stosunek do poszczególnych jej przejawów, z niej powstała nowoczesna Francja, ona była Francji najważniejszem przeżyciem. I my winniśmy przyjąć *en bloc* tradycję Bolesława, Kaźmierza, Batorego, Kościuszki i Kołłontaja, księcia Józefa, listopadowych i styczniowych powstańców.

Młode Niemcy, po wojnach napoleońskich, dążąc do wielkich Niemiec zjednoczonych, walczyły z partykularyzmem i usiłowały stworzyć jedność duchową niemieckiego narodu. — Włosi przed zjednoczeniem skupiali ducha włoskiego koło tradycji starożytnego Rzymu i poezji Danta, a my ledwo zdobyliśmy niepodległość, wytwarzamy dwie tradycje!

Stosunek do religji przerażający! Nie wolno od nikogo wymagać, aby wierzył, niewiara tak jak i wiara jest stanem psychicznym, mającym swoją rację bytu, jest intymnym stosunkiem do zagadnienia kierunku opatrznościowego i nieśmiertelności, nad którym nie można roztaczać kontroli i który ma prawo swobodnie w życiu się afirmować, lecz frymarczenie religją oznacza głęboką skazę kultury. Jakaż bowiem straszna jest statystyka zmieniających wyznanie nie dla pobudek religijnych, lecz dla powodów utylitarnych! A obok tego deprawacja religijna, wyrażająca się w okultystycznych sektach, seansach, gusłach i zabobonach. Warszawa, wylepiona afiszami, głoszącemi tytuły niesłychanych odczytów, czyni wrażenie przygnębiające. Niema w tem cienia zainteresowania do istotnych prądów mistycznych, tylko snobizm i deprawacja umysłowa.

Nieposzanowanie zobowiązań stało się przysłowiowe, stosunek mężczyzny do kobiety — także.

Czytelnik spostrzegł, że terminem kultury oznaczam więź moralną, która tkwi już w obyczajach, poprzedzających tworzenie się społeczeństw i jest warunkiem spółżycia, nie biorąc pod uwagę drugiej jej strony, rozumianej w Niemczech jako rozwój i wewnętrzne opanowanie sił fizycznych, umysłowych i moralnych, a już zupełnie



Dnia 16 b. m. odbyła się na Woli na historycznych szańcach u Mickiewiczowskiej reduty „Ordona" manifestacja Warszawy ku czci generała Sowińskiego. W manifestacji wzięło udział około 10.000 osób. Stoją prezydent miasta p. Słomiński, komisarz Rządu Jaroszewicz, przemawia inicjator uroczystości p. Grzegorz Ciepliński. Na uroczystościach ku czci generała Sowińskiego był też obecny jedyny żyjący jeszcze obrońca reduty, 123 lat liczący ordynans generała, Michał Szurmiński

mnie nie obchodzi utarte u nas pojęcie „człowieka kulturalnego" jako tego, który nie je ryby nożem, gdyż sprowadzanie kwestji kultury do *savoir vivru* pozbawione jest sensu.

Kultura więc, w rozumieniu powyższem, bardziej ogólnem i socjologicznem, niż niemieckie, według którego człowiekiem, posiadającym najwyższy rozwój kulturalny, byłby np. Göthe, wspólna jest narodom posiadającym cywilizację zachodnią, aczkolwiek i tutaj istnieją pewne cechy specyficzne, w których charakter i usposobienie narodu się wyraża i które pozwalają ją rozbijać na odrębne działy kultur narodowych. I tak w Anglji góruje w niej pierwiastek tradycjonalizmu, przenikający wszystkie obyczaje i poszczególne stosunki, w Niemczech patrjarchalność, która sprawia, że ustrój republikański jest im duchowo obcy, we Francji kult i przywiązanie do *foyer*, co główną jest przyczyną niechęci do dopuszczenia kobiet do czynnego udziału w życiu politycznem. I my posiadaliśmy jedną cechę bardzo wysoką i nie można powiedzieć, abyśmy ją zatracili zupełnie: *fundatorstwo*, ofiarność na rzeczy publiczne, wynikające z idei *pro publico bono*, a oparte o stosunek do kraju, jak do ojcowizny. Pełno jest u nas zakładów i instytucji, będących pomnikami tej kultury, pełno dotacji, zabezpieczających instytucjom, jak np. Akademji Krakowskiej, byt i bogactwo, wiele poczucia, co moje to narodu, jak np. u ś. p. Władysława Zamoyskiego, właściciela Kórnika, który z tego powodu w życiu prywatnem wpadł aż w przesadzone skąpstwo. I dziś Maurycy Zamoyski zakłada i utrzymuje swoim sumptem szkołę rzemiosł w ordynacji, Hiszpański tworzy „Mądralin", kolonję dla literatów. Muzea nasze pełne są darów prywatnych. Obok tego fundatorstwa materjalnego istnieje fundatorstwo intelektualne i moralne tych, którzy majątków nie posiadają. Takim pomnikiem fundatorstwa intelektualnego jest *Poradnik dla Samouków*, zorganizowany i doprowadzony do końca przez Michalskiego; Bałtruszajtis, dyrektor gimnazjum w Kamiennej Skarżysku, własną energją i inicjatywą, bez środków, budzi taką ofiarność i rozumienie potrzeby edukacji w swem środowisku, że wznosi wspaniały gmach gimnazjalny, zakłada szkołę handlową i rzemieślniczą. I takich przykładów, skromniejszych lecz z tego samego ducha wynikłych, znalazłoby się bardzo wiele.

Pro publico bono stanowi moralną więź narodu polskiego, i choćby kultura, jak bez ogródek stwierdziliśmy, czasowo była zepsuta, obudzenie tego poczucia wystarcza, żebyśmy szybko posiedli wielką narodową cywilizację.

Stanisław Szpotański

SZTUKA PLASTYCZNA W POZNANIU

W niedzielę dnia 4 września b. r. otwarta została w Salonie Wielkopolskiego Związku Artystów Plastyków w Poznaniu wystawa zbiorowa utalentowanego i wielką sympatją cieszącego się artysty-malarza Jana Nowickiego.

Poniżej prace p. Nowickiego, zaznaczając, że w pierwszym dniu wystawy frekwencja zwiedzających osiągnęła cyfrę jak na Poznań mało spotykaną.

Pierwszą po-wakacyjną wystawę w salonie Wielkopolskiego Związku Artystów Plastyków zainaugurował Jan Nowicki — artysta bardzo sumienny w opracowaniu przezeń ulubionego tematu: — pejzażu. Nowickiego znano u nas dotychczas przedewszystkiem jako bardzo pomysłowego i pracowitego dekoratora Teatrów Miejskich, a dekoracje „Panienki z okienka" (przeróbka powieści Deotymy) spotkały się z uznaniem zarówno krytyki, jak i publiczności ówczesnego Teatru Narodowego.

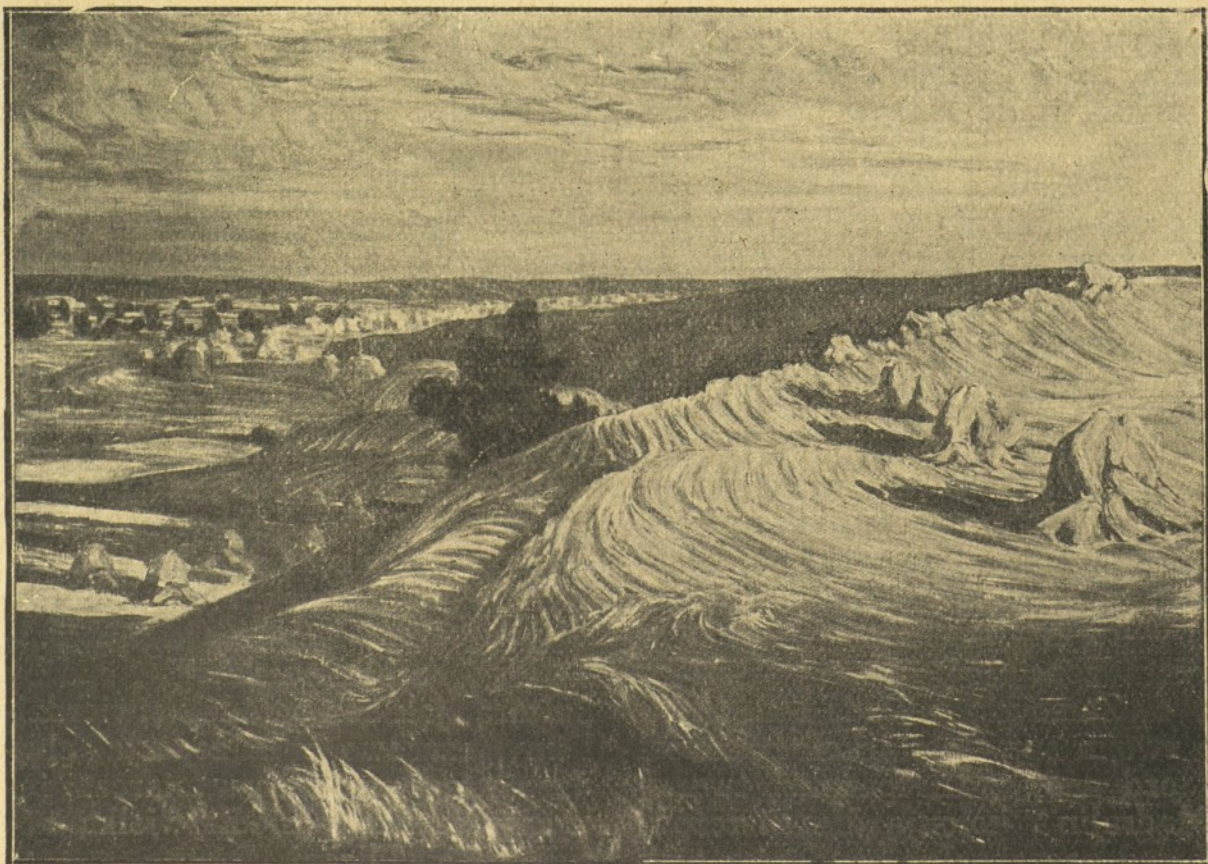
Krajobrazy Nowickiego — to poemat barw i słońca, to kolorystyczne zagadnienie, omotane prawdziwem ukochaniem natury. Jest on realistą w znaczeniu tego słowa — koloryt płócien jego olśniewa blaskiem słonecznym („Pejzaż górzysty" i „żniwny"), to znów majaczy, jakby przytłumiony mgłą zbliżającej się burzy („Przed burzą"). Nadto twórczość artysty cechuje — „powaga, skupienie, praca poszukiwacza. Są problemy i to problemy malarskie. Uczciwy jest stosunek N. do Sztuki — czytamy w recenzji jednego z poznańskich krytyków — po za wybitnym talentem posiada więc artysta kardynalny warunek pracy twórczej o szerokich horyzontach" (Zygmunt Zanoziński „Dziennik Poznański" 22.XI.1924 r.). Inny recenzent pisze, że — „N. interesują kolorystyczne zagadnienia, problemy malarskie, nie anegdotyczne, jest on żywy, nawet radosny, odważny i bezpośredni. Skala tonów, oparta na uzupełnieniu czerwonych i zielonych tonów, nie burzy rysunkowej charakterystyki poszczególnych brył drzew" (W. Lam „Dziennik Poznański" 19.II.1926 r.).



Jan Nowicki — *Sosny w słońcu*

Kolekcja Nowickiego liczy przeszło 80 pozycji. Jest to plon ostatnich 5 lat twórczej pracy. Wśród szeregu akwarel, płócien olejnych, spotykamy i kilka portretów, tudzież scen rodzajowych („Huta szklana", ładnie potraktowana w kompozycji i barwach, „Babcia" i t. p.). Jednakże portrety Nowickiego, to raczej kompozycje figuralne, wysuwające na pierwszy plan efekt (np. rozłożonej chusty w portrecie p. M.). Nowicki jest pejzażystą i winien tylko krajobraz uprawiać. W tej „specjalizacji" jest mu najwięcej do twarzy. Samorodny talent artysty przyniesie nam po tej linji jeszcze niejedną niespodziankę. Specjalna wzmianka należy się Wielk. Zw. Art. Pl. za zorganizowanie wystawy Nowickiego i zapoznanie publiczności przemysłowego grodu z twórczością utalentowanego artysty malarza w całokształcie wystawy zbiorowej.

H. Majkowski



Jan Nowicki — Fot. R. S. Ulatowski, Poznań — *Pejzaż żniwny*

Jak republikański Berlin obchodził 80-lecie urodzin prezydenta Rzeszy gen. Hindenburga



Samochody reprezentacyjne u Bramy Brandeburskiej w dniu uroczystości urodzinowych

Marszałek Hindenburg

Stadjon w Berlinie, na którym odbyło się uroczyste składanie życzeń Marsz. Hindenburgowi, prezydentowi Rzeszy, przez organizacje wojskowe i społeczne niemieckie

Z TYGODNIA

Słowa p. Prezydenta Rzeczypospolitej, wypowiedziane w Krakowie, znalazły w tamtejszej prasie gorący odzew. Stwierdzając historyczne dla Polski znaczenie Krakowa, p. Mościcki tak przemówił do zgromadzonych przedstawicieli tego miasta:

— Od Was, obywatele Krakowa, Polska ma prawo wymagać, byście do zapału, energji, wytrwałości wszystkich obywateli dodali więcej niż inni dojrzałości, pokoju i równowagi, która w szybkim, obecnym rozwoju życia Polski potrzebna jest jako czynnik, zapewniający trwałość budowy!

Piękne te słowa, jak zaznacza „Czas", są świetnie ujętem zadośćuczynieniem za ataki, tak często, niesłusznie i brutalnie przeciw prastarej stolicy i jej przedstawicielom miotane. To zadośćuczynienie tem bardziej należało się Krakowowi, że jego zasługi dla sprawy i kultury polskiej nie są dostatecznie ocenione, i że to miasto, które w ostatnich 50-u latach niewoli było żywą Mekką myśli polskiej, — w dobie niepodległości nazbyt często traktowane jest jako dostojny szanowny i martwy zabytek historyczny. A Kraków pragnie żyć, nie zadawala się znamienitą przeszłością, pragnie utrzymać swoje pierwszorzędne stanowisko w rozwoju państwa polskiego.

Dla sfer politycznych interesujące będą komentarze i wnioski, które z przemówienia p. Prezydenta wysnuwa organ naczelny konserwatystów krakowskich.

— „Na tle ostatnich *doniosłych, choć jeszcze zakulisowych* wydarzeń nabierają te słowa specjalnej wagi. Jeśli rzeczy rozwiną się tym torem, jak tego Głowa Państwa „żąda", można się spodziewać, że istotnie budowa państwa nabierze większej trwałości, niż go mogli jej nadać budowniczowie, pozbawieni umiaru i dojrzałości".

Byłażby to aluzja do zjazdu w Dzikowie?....

. . . .

Nawoływanie do umiaru spotykamy nietylko na szpaltach pism zachowawczych. Oto jak pisze w „Robotniku" nestor socjalistów polskich, Ignacy Daszyński o „dyktaturze proletarjatu":

— „Trzysta tysięcy zorganizowanych robotników to jeden procent narodu. Chęć dyktatorskiego rządzenia tego jednego procentu nad olbrzymią większością musiałaby pchnąć tę większość do zaciętej obrony demokracji przeciw dyktatorom. Role zmieniłyby się djametralnie. Nowoczesna klasa robotnicza nie wytrzymałaby tego nacisku, znaczna jej część wystąpiłaby przeciwko dyktaturze, wraz z resztą społeczeństwa, w imię programu socjalistycznego, potępiającego represje i terror, jako sposób rządzenia".

P. Widz w „Epoce" dodaje do tych słów:

— To hasło (dyktatura proletarjatu) przerzucone zostało do rzędu największych absurdów, których wyznawcą może być tylko fanatyzm najgłupszy, niechcący swoich majaczeń konfrontować z rzeczywistością, — nawet po wszystkich naukach bolszewizmu.

. . . .

W ankietach, ogłoszonych na temat pożyczki amerykańskiej, zabrali głos najwybitniejsi fachowcy. Wszyscy przyznają doniosłe znaczenie faktu, przestrzegają jednak przed złudzeniami. Pożyczka może tylko w pewnej mierze ułatwić wyładowanie energji, inicjatywy, zabiegliwości. Podnieść dobrobyt kraju i przywrócić normalne warunki życia może jedynie i wyłącznie rozumna praca i wytrwała oszczędność.

. . . .

W dniu 30 października drukarze nasi obchodzić będą stuletni jubileusz Zgromadzenia Drukarzy m. stołecznego Warszawy.

Jubileusz ten powinien znaleźć oddźwięk w kołach pisarstwa stołecznego. Drukarz jest bliski pisarzowi, — jest nieodzownym pośrednikiem między nim a czytelnikiem. Ścisłość tego stosunku daje się szczególniej odczuć w dziennikarstwie: praca redakcji wiąże się bezpośrednio z pracą drukarni. Dawniej przed wojną zecer zazdrościł członkowi redakcji jego dochodów. Dziś odwrotnie: członek redakcji zazdrości często zecerowi jego zarobków. Warsztat pracy nie przestał być wspólnym. Między pisarzem, wypowiadającym się w książce, a pracownikiem drukarskim niema już tego zbliżenia. Rozdziela ich księgarz - wydawca. Literat, któryby wzorem Ruskina, zajmował się żywiej graficzną stroną swoich wydawnictw, jest rzadkością. Miriam należał do tych wyjątków. Kiedy wydawał „Chimerę", dni i noce spędzał w warsztatach drukarskich, walcząc z uporem o każdy szczegół, mogący podnieść artystyczny poziom wydawnictwa. Gorące zamiłowanie w tym kierunku ujawniał stale Lorentowicz, zwłaszcza gdy kierował „Muzami". Naogół jednak pisarz - twórca ma do czynienia tylko z księgarzem - wydawcą, temu zaś dość rzadko chodzi o co innego, jak o najdalej idącą redukcję kosztów.

Drukarstwo nasze żyje przeważnie siłą mózgu polskiego pisarstwa. Cóżby bowiem robiły drukarnie, gdyby pisarze polscy przestali pisać, zaniechali nawet tłomaczeń z języków obcych? *Anima movens* drukarstwa — to pisarze. Czy drukarstwo stołeczne odczuwało kiedykolwiek głębiej tę prawdę, — i wynikające z niej obowiązki? Czy interesowało się losem i warunkami pracy tych, dzięki którym powstawały wielkie zakłady, gromadziły się kompleksy olbrzymich maszyn, skupiały liczne rzesze wykwalifikowanych pracowników? Słyszeliśmy o niejednym drukarzu, który dorobił się znacznego majątku. Brak nam wiadomości o pisarzach, którzyby z pracy pióra w kraju — zyskali choćby wygodne zabezpieczenie starości.

W rozwoju kultury książka jest jednym z wymowniejszych świadectw. Książka, wydawnictwa perjodyczne. Z tego powodu rozwój i poziom drukarstwa polskiego każdemu obywatelowi musi leżeć na sercu. A już najsilniej — pisarzowi polskiemu. Więc, w setną rocznicę organizacji, przesyłamy Zgromadzeniu Drukarzy m. st. Warszawy szczere i serdeczne życzenia. Oby pod względem techniki graficznej zrównali się jak najrychlej z Zachodem, oby umieli znaleźć własne drogi do zindywidualizowania książki polskiej, oby potrafili zbliżyć się do pisarstwa polskiego, którego twórczość wprawia ich maszyny w ruch.

. . . .

Świat intelektualny we Francji obchodził uroczyście 25-ą rocznicę Emila Zoli. Okazało się przy tej sposobności, że twórczość znakomitego pisarza, tak poniewieranego kolejno przez wszystkie „nowe" szkoły i kierunki literackie, zachowała niespożytą moc i wartość. Ileż to razy obwieszczano ostateczną zagładę naturalizmu, nawet realizmu! Mimo tych zapowiedzi i nekrologów, dzieło Emila Zoli żyje, — żyje zaś nie dlatego,

WYSTAWA PRAC H. OSTROWSKIEJ



H. Ostrowska: Miasteczko



H. Ostrowska: Widok na Wisłę

W Salonie Sztuki Cz. Garlińskiego otwarto wystawę prac młodocianej malarki, p. Haliny Ostrowskiej, córki poetki Bronisławy i rzeźbiarza Stanisława.

Kilkadziesiąt różnych prac, akwarelowych, olejnych i rysunków, oraz utworów graficznych, świadczy przedewszystkiem o jednem, mianowicie o bardzo poważnym sposobie odnoszenia się do zawiłych nawet problemów malarskich, związanych np. w zakresie malarstwa pejzażowego zarówno z ujęciem formy, jak i z kompozycją kolorystyczną.

Często w pracach początkujących malarzy, a zwłaszcza malarek, można zauważyć wyraźną zupełnie manierę, pewien szablon w traktowaniu formy bez względu na najrozmaitsze zresztą założenia w obrazach. Otóż w pracach p. H. Ostrowskiej tego szablonu i maniery wcale niema, jest natomiast wiele bezpośredniej zupełnie szczerości; jest też wiele nierówności, wiele błędów i niedociągnień, które uczenicy Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych nie przynoszą bynajmniej dyshonoru: widać z tych prac, że są one zaledwie pierwiosnkami młodziutkiego talentu, który stawia przed sobą różnorodne zadania, mierzy swe środki artystyczne i siły na zamiary, a nie zamiar podług sił — co stanowi nieoceniony przywilej młodości.

M. T.

że jest „naturalistycznem , ale dlatego, że jego twórca posiadał wielki talent.

Clement Vautel przypomina, jak to we Francji delikatni esteci kręcili nosami!

— Emil Zola zginie w zapomnieniu, bo nie ma stylu. Trwałą wartość dziełu zapewnia tylko forma!

Tak rozumują często i nasze pięknoduchy, zapominając, że forma jest na to, aby zawierała treść. Talent twórczy wyższy jest ponad zewnętrzne kształty, w których się objawia. St. Simon, Balzac, Stendhal pisali stylem dość zaniedbanym. Stary Dumas nie umiał cyzelować swoich zdań. A jednak...

Emil Zola kiedyś napisał:

— „Nieprawdą jest, aby piękny język wystarczał na zapewnienie dziełu trwałej wartości. Forma jest tem właśnie, co mija najprędzej. Dzieło przedewszystkiem musi żyć, musi być żywem, a jest żywem tylko wówczas, gdy jest prawdziwem, gdy jest przeżytem przez oryginalny umysł twórcy".....

I jeszcze:

— „To, co nas najbardziej zachwyca w dziele pisarza, to jego wewnętrzny ogień, tchnienie genjuszu, które wyziera z każdej napisanej stronicy. Nieśmiertelność zdobywa się, tworząc postacie żywe, tworząc świat na swój obraz i podobieństwo"....

Cóż pozostanie po chłodnych, mózgowych wypocinach licznych nowoczesnych pięknoduchów literackich?

Dusze z papieru! *skrz.*

HOJNY MAGNAT

W dobrach swoich pod Przemyślem zmarł ś. p. Bolesław Orzechowicz. Zwykły, zamożny szlachcic, a przecież jaki wielki pan! Przez całe życie gromadził piękne i cenne zbiory, — pamiątki historyczne, dzieła sztuki, minjatury, broń, porcelanę, szkło, bronzy... Przez całe życie zbierał, i jeszcze za życia ofiarował swe skarby rodzinnemu Lwowu. Nie zapomniał i o nauce— dał pół miljona na rzecz Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie.

Oto wielki pan, magnat, arystokrata z ducha! Choć nosił tylko zwykłe nazwisko ziemiańskie! Ale pozostanie ono już w pamięci społeczeństwa polskiego, będzie otoczone trwałym blaskiem. Mecenas sztuki i nauki polskiej? Jakże rzadko trafia się dzisiaj!



Dr. Bolesław Orzechowicz, wybitny filantrop na polu sztuki i nauki, zmarł w Małopolsce Wschodniej. Ilustracja według portretu Pochwalskiego z roku 1924.

Zagłada Kaczego Dołu

Ministerstwo spraw wewnętrznych zmieniło nazwę znanej miejscowości podwarszawskiej — Kaczy Dół na Międzylesie, czyniąc zadość życzeniom w tym względzie mieszkańców. Stara, sto lat licząca nazwa nie podobała się miejscowym obywatelom; pochodzenie jej od kaczki uznali za niskie i niezaszczytne. „Międzylesie" brzmi ładniej.

Gdyby takie uprzedzenie do poczciwej reprezentantki ptactwa wodnego ogarnęło inne okolice kraju, trzebaby było dokonać około setki zmian nazw geograficznych na ziemiach polskich. Wszędzie bowiem znajdziemy takie miejscowości, jak Kaczkowice, Kaczków, Kaczkowizna, Kaczkuny, Kaczor, Kaczorów, Kaczuny, Kaczyce, Kaczorowo, Kaczynos, nawet Kaczyrów, rodzony brat Kaczegodołu. Nazwa Kaczyn spotyka się trzy razy w różnych dzielnicach, Kaczyniec — 4, Kaczory 5, Kaczkówka także 5, Kaczkowo i Kaczki — po 6 razy. Kaczka, rodzicielka wszystkich powyższych, figuruje cztery razy na mapie Polski, jako nazwa miejscowości i raz, jako rzeczka, dopływ Kamiennej. Ileby to pracy miały zarządy gminne, starostwa, urzędy wojewódzkie, wreszcie ministerstwo spraw wewnętrznych, gdyby te wszystkie zaludnione, a nieraz pewnie malownicze wioski i osady chciały się przechrzcić?

Ale na tem nie koniec. Kaczka — domowa czy dzika, krzyżówka czy cyranka — nie jest wcale najbardziej lekceważonem stworzeniem. Są gorsze, które nadały nazwy osiedlom ludzkim.

Taki Baranów w pow. puławskim, albo Cielątko, stacja kolejowa na linji Siedlce — Małkinia, takie Łysobyki w pow. łukowskim, Petrykozy w grójeckiem ze wspaniałą rezydencją magnacką, lub Koziegłowy pod Będzinem — czyż nie zbuntują się przeciw swej nazwie, nasuwającej jeszcze obraźliwsze skojarzenia? Osada Końska Wola, chlubiąca się pobytem poety Kniaźnina i komedjopisarza Zabłockiego, miasto Końskie, słynące z odlewni żelaza, — mają jeszcze więcej danych do respektu. A Kocia - Górka w pow. nieszawskim, cała pokryta głazami narzutowemi, z pewnością nie zechce być gorzej traktowana od Kaczego Dołu. Raczej zapragnie z nim się zrównać i przybierze pseudonim poetyczny „Międzygłazie". Psary w łowickiem, znane z gospodarstwa rybnego, podniosą gwałt przeciw psiemu losowi, Mordy w siedleckiem zażądają satysfakcji honorowej, a Chlewiska, posiadające rudę żelazną, domagać się będą sprostowania swej nazwy na zasadzie art. 32 dekretów prasowych. Cała nomenklatura geograficzna Polski powstanie przeciwko niesprawiedliwemu upośledzeniu i walczyć będzie o gwarantowane Konstytucją Marcową równouprawnienie z Kaczym Dołem.

A jaka z tego wyniknie anarchja na mapie i jaki zamęt w Słowniku Geograficznym oraz we wszystkich przewodnikach turystycznych dr. Orłowicza, tego nikt przewidzieć nie zdoła. Białogon pod Kielcami przezwie się Krasnohołówką, Błędów, mieszczący filję zakładów Żyrardowskich, zechce tytułować się Prawdzicem, Donosy w pińczowskiem przyjmą nazwę Referatowa, a Mrzygłód nad Wartą zostanie Obżartówką. Już nikt nie zechce kąpać się w Gaci, skromnym dopływie Narwi, lecz marzyć będzie nad malowniczemi brzegami Kalesonów. Wreszcie oddawna słynące z przemytnictwa Bakałarzewo, w powiecie suwalskim, zwać się zacznie Profesorowem, nie zmieniając zresztą intratnego swego zajęcia.

Akcja niezadowolonej ludności prowincji dotrze i do stolicy kraju. Szmulowizna przechrzci się na Samuelówkę; mieszkańcy przedmieścia Brudno, jak jeden mąż, zażądają przeprowadzki na Czyste, handlowe Bagno zupełnie się wyludni, a przedewszystkiem wystąpi ulica Kacza z pretensjami do Myśliwieckiej.

Gdy ministerstwo spraw wewnętrznych dowie się o nieobliczalnych skutkach swego reskryptu w sprawie Kaczego Dołu, może cofnie zagładę tej miejscowości. Zwłaszcza, że poza względami fonetycznemi, przemawiają za tem racje cywilizacyjne. Kaczy Dół dzięki szczęśliwym okolicznościom, może właśnie z powodu swej nazwy, zyskał jakby symboliczne znaczenie. Uosabia letnisko podwarszawskie: zaniedbane, niewygodne, brudne, ale kosztowne; stanowi przeciwstawienie *badom* zagranicznym — komfortowym, choć nie tak drogim. Wyrzucenie tej nazwy ze słownictwa polskiego jest zubożeniem języka i pozbywaniem się jednego z niezbędnych skrótów pojęciowych. Kaczy Dół wszedł do literatury, odtwarzany był na scenkach, opiewany w kupletach, żyje w świadomości zbiorowej narodu, jako pewna alegorja; może ujemna, ale czyż przez to zbyteczna?

Gdyby się kierować tego rodzaju kryterjami, co stałoby się z całym szeregiem miasteczek i osad polskich, odgrywających wielką rolę w naszej mowie potocznej. Smorgonie, gdzie niegdyś tresowano niedźwiedzie, prowadzone na łańcuchu, dały nazwę „akademji", której ukończenie nie przynosi zaszczytu; Pacanów, „gdzie kozy kują", był pośmiewiskiem zamożniejszych okolicznych miasteczek, chociaż w 1502 roku odparł najazd tatarski, gdy jego sąsiedzi żadnej karty w historji nie mają; w Małopolsce do dziś dnia mówi się „fujara z Mościsk", a w lubelszczyźnie znów — „fujarę" wywodzi się z Bełżyc, choć miasteczko to słynęło przed wiekami ze szkół, zborów arjańskich i ze zjazdów naukowych. Żadna z tych miejscowości nie zasłużyła sobie na pogardliwe traktowanie, a jednak nie obraża się na swą nazwę i nie żąda jej zmiany, bo rozumie, że lepiej żyć w świadomości narodu, choćby w ujemnem znaczeniu, niźli ginąć wśród szarzyzny i bezlicowości tysiąca innych osiedli, o których nikt nie słyszał i nigdy się nie dowie.

Są też nazwy słusznie budzące odrazę. O Kiernozi (pow. gostyński) mówi się z lekceważeniem, prawdopodobnie dlatego, że według relacji z 1882 r. na 600 jej mieszkańców tylko 18 umiało czytać i pisać. I to uczucie pogardliwe w stosunku do Kiernozi pozostało w narodzie, choć zatraciła się pamięć o przyczynach jego powstania. Ryczywół w pow. kozienickim jeszcze dawniej popadł w niełaskę. Biskup Krasicki pisał: „O Ryczywole zamilczeć wolę", nie chcąc go w swych pamiętnikach kompromitować, a jednak skompromitował przed całą potomnością.

Jak powstają uprzedzenia do pewnych miejscowości, widzieliśmy na własne oczy: Pikutkowo (w pow. włocławskim) stało się wyobrazicielem zapadłej dziury wiejskiej, Rypin, opiewany w „Rypinjadzie" na wzór znakomitej „Walencji" — dał obraz zabitego deskami przed światem miasteczka. Czy język polski, czy pojęcia nasze, czy kultura cała nie uległyby zubożeniu, gdyby nagle nadąsani mieszkańcy tych wszystkich osiedli uprzykrzyli sobie drwiny prywatne i publiczne i zażądali przemianowania ich na sposób nic nie mówiący? Ale czy oni sami nie skrzywdziliby swych miejsc rodzinnych, pozbawiając je tradycji i niezaprzeczalnego zaszczytu istnienia w świadomości wielkich mas współobywateli?

W Kaczym Dole
Są symbole,
O Międzylesie
Nic wieść nie niesie.

Gi-ski

DOŚWIADCZENIA NAD LOTEM BOCIANÓW: JAK PTAKI ORJENTUJĄ SIĘ W KIERUNKU



Niemieccy przyrodnicy postanowili doświadczalnie stwierdzić, jak ptaki orjentują się w kierunku. W tym celu wyhodowali na stacji naukowej w Rossiten 75 młodych bocianów. Każdy zaopatrzony jest w kółko z numerem i nadpisem. Gdy przyjdzie czas odlotu, stado to będzie obserwowane przez specjalistów uczonych. Samoloty i radio przyjdą z pomocą nauce.

MARJA PAWLIKOWSKA

Najpiękniejszy sen

Wczoraj śnił mi się znów dla odmiany
najpiękniejszy mój sen, niezrównany,
o pływaniu w powietrzu, jak w wodzie.

Ludzie ze snu nic o tem nie wiedzą,
wciąż się szczycą postępem i wiedzą
i są z prawem grawitacji w zgodzie.

Siedzę z nimi, piję czarną kawę,
omawiamy rzeczy nieciekawe,
wychwalamy jakąś panią okropną —

nagle strącam talerzyk i ciastko,
skaczę na stół, ręce składam spiczasto
i wypływam przez otwarte okno.

W niebie czystem jak turkus i djament
słyszę z dołu pogróżki i lament,
krzyk, że djabeł mnie uniósł w powietrze!

Tłum ponury zalega ulice.
Zapalają kadzidło, gromnice,
widzę twarze od papieru bledsze.

Więc odpływam coraz dalej i dalej,
bryły wiatru roztrącam jak fale,
zaśmiewając się z głupiej parafji —

z sercem twardem, unurzanem w dumie,
że tej sztuki nikt prócz mnie nie umie,
każdy patrzy, a nikt nie potrafi!

odpoczywam na drzewnych wierzchołkach
i w obłokach udaję aniołka,
choć policjant z dołu na mnie woła.

I znów pływam najnowszą metodą,
wzdycham piersią niestrudzoną, młodą
i jaskółki odgarniam z nad czoła,

potem w dali dopędzam pilota,
co się w chmurach koziołkuje i miota
głową na dół wśród wspaniałych skrętów.

Ścigam jego samolot po niebie,
aż mnie wciąga silną ręką do siebie,
jak syrenę, co się czepia okrętu.

O nie całuj, nie całuj, pilocie,
nie obejmuj mnie ramieniem w locie,
bo za prędko spadniemy na ziemię!

Twarz masz słodką, brązową i świętą
portugalski lotniku, Sarmento,
serce moje pod Twem skrzydłem drzemie.

A wieczorem powracam piechotą,
siadam w domu pod żarówką złotą,
jakby nigdy nic nie było zaszło.

Wszyscy siedzą uroczyści ogromnie,
obrażeni, nikt nie mówi do mnie,
przecierają okulary i kaszlą.

Droga Białego Boga

Antoni Ferdynand Ossendowski w książce swojej p. t. „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów" poświęcił kilka rozdziałów wspomnieniom z Mongolji. Na plan pierwszy wysunął zagadkową postać barona R. F. Ungern von Sternberga, buddysty i chana mongolskiego. Był to generał carski, który po rewolucji bolszewickiej z resztkami wojsk rosyjskich znalazł się na ziemiach mongolskich i uwolnił Mongolję od Chińczyków. Wszczął później wojnę z bolszewikami i zginął. Generał ten opanowany był przez dziwaczno mistyczną filozofję: roił wielkie plany stworzenia olbrzymiego mongolskiego państwa. W Urdze, stolicy Mongolji, znalazł powolnych wykładaczy pisma. Stał się obok Żywego Buddhy drugą postacią w świecie mongolskim. Miał mu w przeprowadzeniu tych wielkich planów pomagać gen. Grigorij Siemionow. Złym duchem Ungerna był pułkownik Sipajłow. Jego podszepty i rady sprawiły, że Ungern zyskał sobie niesympatyczny przydomek „krwawego generała".

Wiadomości te zawarte w książce A. F. Ossendowskiego posłużyły za tło do najnowszej, dwutomowej powieści Wacława Sieroszewskiego p. t. „Dalaj Lama". Zasłużony pisarz znał zresztą Wschód i z własnych, przedwojennych przeżyć. Jako katorżanin posieleniec wsłuchiwał się w tajemnicze wierzenia burjatów, tunguzów, mongołów. Pierwotną przyrodę rozłogów syberyjskich opisywał wielokrotnie. Wzruszał soczystością wizji: step syberyjski pod piórem Wacława Sieroszewskiego mienił się wszystkiemi kolorami tęczy, pachniał roślinnością, czarował obfitością zwierzyny, ptactwa, owadów. Stary, odwieczny ostęp leśny w Sieroszewskim znajdował również czułego pieśniarza.

Pomysł beletrystyczny oparł więc do pewnego stopnia na realnych obserwacjach. Nie jest on jednak realistyczny. Wacław Sieroszewski z powieści swojej „Dalaj - Lama" czyni fantastyczną baśń. Jest to przecież utwór, zawierający tworzącą się legendę o „drodze białego Boga". Legenda ta może być nawet... prawdziwą. Jak twierdzi Ossendowski, w stolicy Mongolji, Urdze „żywych Bogów" jest mnóstwo. Jednego nawet oglądaliśmy z desek teatru im. Bogusławskiego. Nie był groźny, choć mówiono o nim wiele rzeczy tajemniczych.

Wacław Sieroszewski „żywego boga" postanowił uczynić z młodej, urodziwej panny Hanny Korczakówny. Pomysł ten mógłby nawet wzruszyć, gdyby psychika nasza znalazła za nim jakieś motywy mniej utylitarne. Hanna Korczakówna ma reprezentować „Białą Darichu" dla celów politycznych barona Ungerna; nie prostuje tego kłamstwa i brat rodzony, gdyż przedewszystkiem nie może, no i taka legenda chroni ją od krwiożerczych szponów różnych oprawców. Ani razu jednak nie łączy się czar zewnętrzny czy wewnętrzny tej postaci z możliwością powstania jakiejkolwiek nadnaturalnej aureoli. Hanka Korczakówna jest sympatycznem dziewczęciem, ale na tem kończą się jej zalety. Gdyby autor dodał do urody tej dziewczyny trochę wiadomości z medycyny, techniki, przyrodoznawstwa, astronomji — byłoby łatwiej czytelnikowi uwierzyć, że mongołowie mogli ją wziąć za wcielenie „Białej Bogini". Ludy pierwotne podobno łatwo robią z lekarza cudotwórcę, jeżeli skutecznie pomógł w jakiejś chorobie. Mongołowie mogliby też, mimo swoich ksiąg lamaickich, znaleźć w urodzie, wiedzy, wdzięku i dobroci Hanki znamiona wyższości, nieziemskości, ubóstwienia.

Hanka Korczakówna w opowiadaniu zresztą odgrywa rolę fragmentaryczną: chodzi W. Sieroszewskiemu o wydostanie z opresji nie jej jednej, lecz czterech osób. W toku narracji przybył najpierw sympatyczny Maciek, a później dzielny oficer - pilot Domicki.

W regjony fantastyki wkracza przytem cała opowieść, gdy baron Ungern przekonywa Chu-tuch-ta, iż „niby ta polka podobna jest do córki zabitego cara." A później jeszcze marzy:

„Gdy dowiedzą się (rosjanie), że córka ich prawego władcy, cara Mikołaja, cudownie ocalała, idzie zdobywać tron swój dziedziczny na czele wojsk zwycięskich, wszyscy przejdą z radością na naszą stronę... Poddadzą się miasta, przyłączą armje, uznają chłopi i robotnicy, gdyż wszyscy oni mają i mieć będą po wieki wieków miłość do „Białej Darichu".

Psychoza wojenna mogła urodzić i taki fantastyczno - sielski plan ratowania Rosji. Sądząc jednak ze wspomnień A. F. Ossendowskiego,, „krwawy generał" Ungern von Sternberg mimo buddaizmu i różnych zboczeń był człowiekiem raczej zbyt realnym.

W powieści Wacława Sieroszewskiego ten epizod wynurzenia barona wyjaśnia, czemu Hanka Korczakówna odbywa egzotyczne wędrówki do klasztoru mongolskiego, wskazuje, czemu ją zamurowywują w górskiej samotni, ma ugruntować dziwny przebieg wydarzeń do chwili ucieczki jej aeroplanem. Przygody te, choć osobliwe, dramatyczne, najeżone okropnościami, nie budzą grozy. Czytelnik czuje wprawną rękę reżysera - autora, który odpowiednio kieruje wydarzeniami. Wzrusza natomiast część pierwsza opowieści. Losy Korczaków od chwili znalezienia się za kordonem rosyjskim do momentu zamieszkania w przyjaznej jurcie Dzordziów zaciekawiają, budzą współczucie. Wędrówka Korczaków przez stary bór, życie ich na stepowej polanie u brzegów nieznanej rzeki wyróżniają się polotem pióra. Sieroszewski z własnych przeżyć zaczerpnął te soczyste wizje wysokopiennych drzew, olbrzymich traw, rzek kipiących nadmiarem ryb. Artystycznie cenną też jest scena wśród poszukiwaczy złota. Od tego miejsca powieść przechodzi w fantastyczną feerję, by stać się „drogą Białego Boga".

Twórca „Małżeństwa" znalazł się w nieswoim żywiole. Siła jego talentu tkwi w realizmie. Im bliższy jest prawdy życiowej — tem wspanialszy, soczystszy, barwniejszy w wizji artystycznej. Gdzie więc tylko udaje mu się stanąć mocno na ziemi, pióro połyskuje, mieni się, rzuca czarodziejskie barwy. Jak wielką kolorowość ma jego wysłowienie, wystarczy zanalizować kilka stronic tej jego nowej powieści. Sieroszewski pisze:

„Leżąc na boku (Hanka) z otwartemi oczami i wpatrując się w lodową gardziel okienka, skąd leciała ku nim **biała** śmierć, dziewczyna przeżywała z męczącą potęgą pragnienie ujrzenia choćby na krótką chwilkę **błysku iskry**, wężowego ruchu płomieni, rubinowej rozkoszy żaru, nad którym mogłaby pochylić stygnące ciało".

Jak barwnie i plastycznie pokazał Sieroszewski udrękę a równocześnie nostalgję za ogniem, za ciepłem. Opisów przyrody porozrzucał hojną ręką na kartach swojej opowieści mnóstwo.

„Droga Białego Boga" składa chlubne świadectwo talentowi beletrystycznemu Wacława Sieroszewskiego.

Eustachy Czekalski

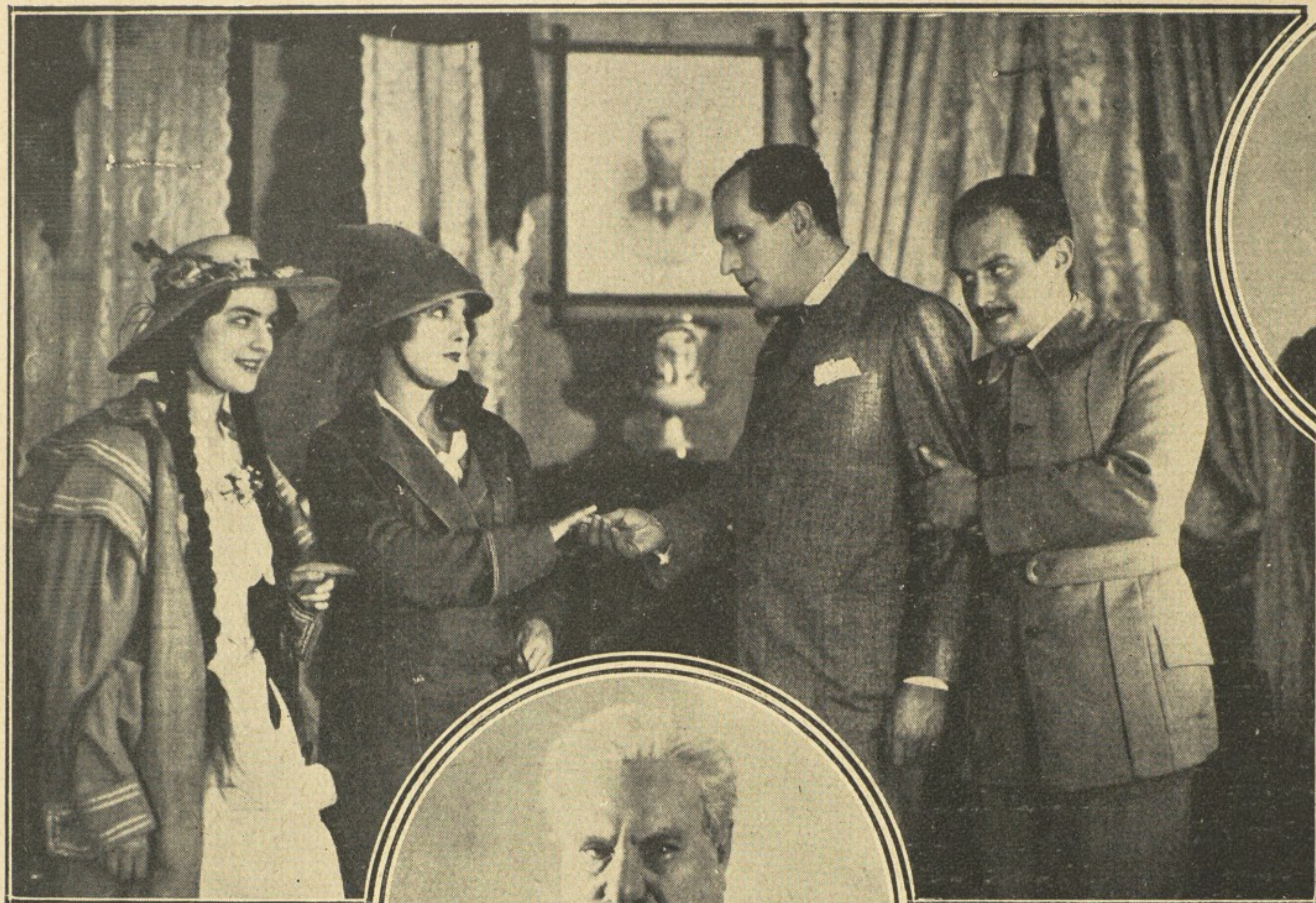
NA FORUM MIĘDZYNARODOWEM

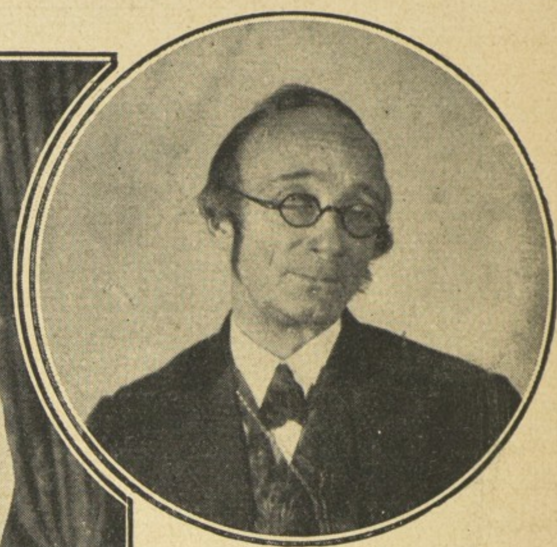


Grupa Delegacji Polskiej na tegoroczne VIII Zgromadzenie Ligi Narodów w Genewie

DZIESIĘCIOLECIE ISTNIENIA SĄDOWNICTWA POLSKIEGO

Dnia 16 b. m. odbył się w Warszawie w sądzie okręgowym obchód dziesięciolecia istnienia sądownictwa polskiego. Wzięli w nim udział minister sprawiedliwości Meysztowicz, vice-ministrowie Car, Siennicki, prezes najwyższej izby kontroli państwa, sędziowie, prokuratorowie, reprezentacja rady adwokackiej i t. d.





Znakomity Rejent Bajdalski w interpretacji K. Kamińskiego

Fot. J. Malarski



Frenkiel, jako p. Damazy

Akt czwarty: Majdrowiczówna (córka p. Damazego), Gromnicka (Mańka), Frenkiel — syn (pozytywista), Hnydziński (Antoni)

Pieniądze

— Byliśmy tacy szczęśliwi!

— Mąż pani był bogaty?

— Tak. Szalenie. Ale co to ma do rzeczy?

— Nie... nic.

Istotnie, co ma miłość do pieniędzy? Pieniądze nie dają szczęścia. Wie o tem od swojej nauczycielki każde dziecko, już w szkole freblowskiej. Pieniądze to przecież wymysł ludzki, gdy serce.... Z pieniędzmi człowiek się nie rodzi, natomiast serce przynosimy z sobą na świat. Miłość jest rzeczą naturalną, a pieniądze się wyrabia.

Tylko że... w dzisiejszym stanie życia społecznego człowiek nie żywi się przygodnie zerwaną jagodą, nie należącą do nikogo, ani upolowanym przez siebie kozłem. Po mięso idzie się do rzeźnika, po jabłko do owocarni. Nie chodzimy nago i podróżujemy sposobami sztucznemi, piechotą dalekobyśmy nie zaszli. Aksamity, tiule, pantofelki, parkiety, automobile, aeroplany, elektryczne oświetlenie, wygodne meble, hotele, telefony, teatry, obrazy, rzeźby, wszystkie te sztuczności, od alfabetu zaczynając, na kinematografie kończąc, weszły w nasze życie, jako nasze codzienne naturalne potrzeby. Niegdyś, żeby się dostać na jasną polankę leśną, zalaną słońcem, człowiek wypełzał z jaskini, przełaził w gąszczu leśnym niejeden obalony pień, skakał z drzewa na drzewo, jak małpa, chlupnął się nieraz w bajoro, upaćkał się mokrym mchem, i po drodze musiał czasami zadławić jadowitego węża, albo przycupnąć za kamieniem, gdy spotkał przechadzającego się nosorożca. Teraz jedzie się wieczorem do opery w ogrzanej limuzinie czterdziestokonnej, ulicami oświetlonemi *à giorno*, mając na sobie leciutkie sobole, suknię z srebrnej lamy, cudnie szlifowany brylant na szyi, pachnąc niezwykłą perfumą, a wszystko to nikomu nie wydaje się nienaturalne. Niegdyś, w czasach zamierzchłych, mężczyzna oddający siebie umiłowanej kobiecie, oddawał jej wszystko, co można było wówczas ofiarować i czego można było od niego zażądać. Dzisiaj jest inaczej. Puszcza, która otacza dzisiaj ludzi, zmieniła się nie do poznania. Aby mieszkać w puszczy, zwanej Londyn, Paryż, Wiedeń, Warszawa, aby w tej puszczy odpowiednio się poruszać, nie wystarcza człowiekowi to, co z sobą przynosi na świat; nie wystarczają mu jego nogi do przesuwania się z miejsca na miejsce, ani muskuły jego rąk, aby sobie upolował komfortowy posiłek. Jakże skomplikowaną jest rzeczą zwyczajne ranne śniadanie: herbata, bułeczka, masło, ser! A cóż dopiero mówić o wystawnym obiedzie! A zagadnienie nowoczesnej jaskini, zkanalizowanego apartamenciku! Jeść, mieszkać i czuć się bezpiecznym, wesołym, zadowolonym, rzeczy tak zwykłe, tak normalne, jakże są w dzisiejszej puszczy zagadnieniem zawiłem! To, co dawniej otaczało człowieka, łatwe było do zdobycia. Pragnął człowiek jabłka, które go kusiło, — sięgnął ręką i zrywał jabłko; zapragnął ptaka, dostawał się do jego gniazda. Dzisiaj, otaczają nas wspaniałe pałace, dywany, kosztowności, powozy, muzyka, malarstwo, książki, sporty.... Aby sięgnąć po te nowoczesne jabłka, nie

wszyscy posiadamy dość długie ręce, a pragnąć je mieć jest równie naturalne, jak pragnąć jabłka. Jeżeli zdarzy się kobieta, nie zdająca sobie sprawy, że te tak naturalne, bo przecież istniejące w koło nas, przedmioty, te olśniewające toalety, te kryształy, te automobile, te loże na wyścigi, te djademy brylantowe, te jedwabie, koronki, są o wiele trudniejsze do zdobycia, niż jabłko zwisające z gałęzi, a z drugiej strony, jeżeli mężczyzna, szanując tkliwie tę naiwność, pragnie ukochanej niczego nie odmawiać, to... najpierw traci majątek, potem wpada w długi, potem bankrutuje, zarywa lub rujnuje przyjaciół, którzy mu zawierzyli, i wreszcie wydziera się straszliwej miłości, obraża kochankę, nazywa ją drapieżną egoistką, aż ta, zdumiona i oburzona tępotą kochanka, choć pełna bezgranicznej dla niego miłości, rzuca mu w twarz: „Głupcze!" i odchodzi.

Taka jest treść tragikomedji Verneuil'a p. t. „Radość kochania", wybornie wyreżyserowanej w teatrze Letnim przez Józefa Śliwickiego i granej z nieskończonym wdziękiem przez p. Mieczysławę Ćwiklińską i p. Wojciechа Brydzińskiego. Oczywiście, jest to treść nie cała. Bo Jorrah naiwnie zabiera kochankowi nietylko pieniądze; zabiera mu wszystkie myśli i wszystek czas; nie pozwala mu skupić uwagi na niczem, co nie jest nią; nic nie ma istnieć dla nich dwojga po za nimi dwojgiem, żyjącymi wzajemną miłością. Ale ja umyślnie podkreśliłem w tym konflikcie rolę pieniędzy, ponieważ rola pieniędzy w życiu współczesnem występuje tutaj z wyjątkową siłą, a ja nie piszę w „*Świecie*" recenzji teatralnych, tylko piszę feljetony *à propos* sztuk, wystawianych w teatrze. Miejsce, jakie pieniądz zajmuje dzisiaj w ludzkiem życiu — nie mówię, czy to jest źle, czy dobrze, stwierdzam tylko ważność i charakterystyczność funkcji pieniężnej w obecnem społeczeństwie — znacznie mniej daje się spostrzec np. w innej sztuce, wprowadzonej obecnie przez dyr. Lorentowicza z takiem powodzeniem na scenę narodową, w „Panu Damazym" Blizińskiego, mimo że tematem tej sztuki jest właśnie pieniądz. A nie dlatego tak się dzieje, że „Pana Damazego" Bliziński napisał o pięćdziesiąt lat wcześniej; bo ksiądz Prevost napisał „Manon Lescot" na długo przed ukazaniem się „Pana Damazego", a jednak pieniądz odsłania nam w „Manon Lescot" swoje charakterystyczne oblicze. Może dlatego tak widać to ostre spojrzenie pieniądza w powieści Prevosta, że Manon, jak u Verneuil'a Jorrah, jest kobietą, zrywającą dla siebie z upodobaniem kosztowne jabłka współczesnej materjalnej kultury. Bohaterowie „Pana Damazego" nie mają wielkich potrzeb, lubią się najeść, żyją w bezpośredniem obcowaniu z ziemią, która ich karmi, są prości, nawet prostaccy, niektórzy z nich, jak np. Zosia, czy Mańka, nie byli jeszcze w Warszawie, i nic nie wiedzą o komforcie, jaki ofiarowuje człowiekowi kosztowna wynalazczość XIX wieku. Dla takich ludzi pieniądz ma bardzo średnią wartość, małą wartość ich małych pragnień.

Z przyjemnością spacerują po owocowym sadzie, ani się domyślając, jakie owoce wydaje ku człowieczej wygodzie, ha! i rozpuście, współczesna technika. Nie zrywają tych wymyślnych owoców, ponieważ ich nie znają. Ale wąż wiadomości, gdyby... . Tylko że w majątku pana Damazego niema, na szczęście, węża wiadomości. Na szczęście? Podobno mędrcy, którzy, co do jednego, nie znaleźli szczęścia w wiedzy, gdy ich zapytano, czy woleliby być szczęśliwymi głupcami, odpowiedzieli: Nie. Jest to przecież zagadnienie, nie mające nic wspólnego z panią Jorrach i z szatańskim cudem pieniądza.

W „Panu Damazym" podziwialiśmy mistrzowską grę dwóch wirtuozów, Kazimierza Kamińskiego i Mieczysława Frenkla, i radowaliśmy się urodzie niewieściej, jaką roztoczyły panie Majdrowiczówna i Gromnicka. P. dyrektor Lorentowicz, któremu zawdzięczamy uscenizowanie szkiców Słowackiego do tragedji p. t. „Agis", opiekuje się twórczością polską nietylko w zapowiedziach repertuarowych.

Wacław Grubiński

Drobiazgi teatralne

TEATR POMORSKI W TORUNIU

Pod dyrekcją p. Jerzego Rygiera, przy współudziale kierowniczym pp. prof. Munnicha i Józefa Leśniewskiego, Teatr Pomorski bardzo szczęśliwie rozpoczął sezon. Repertuar składa się nieomal wyłącznie ze sztuk polskich. Na inauguracyjne przedstawienie poszedł „Pan Damazy" Bliźińskiego, potem—„Bracia Lerche" Asnyka. „Oj mężczyźni, mężczyźni!" K. Zalewskiego, „Głuszec" Krzywoszewskiego. Dalsze premjery: „Fura słomy" Kaweckiego, „Judasz z Kariothu" Rostworowskiego. Więc można oprzeć się na repertuarze polskim!

Teatr Pomorski, oprócz przedstawień w Toruniu, wyjeżdża na przedstawienia gościnne do miast okolicznych, jak Włoc'awek, Gniezno, Starogard, Brodnica, Tczew, Wąbrzeżno. Projektowane są przedstawienia w Gdańsku. Wśród artystów zwracają uwagę: młoda, utalentowan artystka, p. Marja Fiszerówna, Jerzmanowska, Zarembina, dyr. Rygier, Chmurkowski, Leśniewski. Cały zespół zresztą dobrany jest z niezwykłą starannością.

TEATR PRASKI: „LALKA" AUDRANA Fot. Pikiel



Wykonawcy ról głównych: p. p. Brygiewicz, Szurszewska, Krel

TEATR W TORUNIU: „GŁUSZEC" KOMEDJA ST. KRZYWOSZEWSKIEGO



P. p. Chmurkowski (Doktór), Jeczmanowska, Zarembina, Leśniewski (Profesor Hilary), Rygier (Tadeusz), Fiszerówna (Stasia)

Teatralno-muzyczne uroczystości w Salcburgu

Salcburskie „Festspiele" ściągnęły i w tym roku rzesze ciekawych. Sprawiły to zarówno i ustalona sława z lat poprzednich, jakoteż niezwykle interesujący program tegoroczny, w którego ośrodku pozostało nadal głośne misterjum *„Jedermann"* z niezrównanym *Moissim* w roli naczelnej. Przepiękne opracowanie staroangielskiego moralitetu, dokonane przez *Hofmannsthala,* w prawdziwie genialnej inscenizacji *Reinhardta,* odegranej na jedynej w swoim rodzaju scenie, a mianowicie dziedzińcu przedkatedralnym, wywiera wciąż jeszcze wrażenie przepotężne. Osiąga je Reinhardt niesłychanie, powiedziałbym: rafinowanie prostemi środkami, dzięki czemu udało mu się jakoby urzeczywistnić marzenie wszystkich teatralików nowoczesnych, t. j. dramat religijny.

Prostota właśnie znamionuje—zda się—ostatnią fazę w rozwoju Reinhardta. Dowiodła tego i druga istotnie nadzwyczajna w swej dynamice inscenizacja: *„Intrygi i miłości" Schillera.* Stary utwór wielkiego „Stuermera i drängera" ożył w całej swej młodocianej potędze rewolucyjnej, wzruszając i wstrząsając do głębi sercami widzów. W doskonale zgranym zespole wybili się na plan pierwszy: wielki aktor *Hugo Thimig* (Miller), wyborny *Sokoloff* (Wurm), *Hartman (Ferdynand), Helena Thimig* (Luiza *i Darvas (Lady* Milford).

Artystycznie mniej wartościową okazała się natomiast słynna inscenizacja: *„Sen nocy letniej"*, aczkolwiek rozwinął



Puck.-Herald Kreutzberg



Sommernachtstraum

w niej Reinhardt niebywały przepych barw, świateł, kostjumów, mas i t. d. słowem — olbrzymią *technikę* sceniczną. Ta właśnie technika zabiła dramat, w miejsce którego powstała na tle szekspirowskiego „scenarjusza" bajecznie kolorowa i bajecznie taneczna — *pantomina* z kapitalnym zresztą tancerzem *Kreuzbergiem,* jako Puckiem, na czele.

Na część muzyczną tegorocznych „Festspielów" złożyły się *koncerty symfoniczne,* poświęcone głównie klasykom austrjackim, a wykonane po mistrzowsku przez Filharmoników wiedeńskich pod batutą znakomitego dyr. Schalka, — *Koncerty kościelne* pod dyrekcją *Józefa Messnera* (m. i. „Missa solemnic" Beethovena), — urocze nad wyraz „serenady" *Mozartowskie,* kierowane przez dyr. Baumgartnera, oraz opery Mozarta: *„Wesele Figara"* i *„Don Juan"* i Beethovena *„Fidelio"* (inscenizacja reż. Wallersteina), — w wykonaniu wspomnianej orkiestry i pierwszorzędnych sił śpiewaczych, jak *Piccaver, Hans Duhan, Rich. Mayr, Lotte Lehman, Nemeth* i in.

J. M.

Z muzyki

Muzyka Polska. Pod tym tytułem miesięcznik „Muzyka", wychodzący w Warszawie, wydał monografję zbiorową pióra D-ra H. Opieńskiego (Polski Styl Muzyczny), d-ra A. Chybińskiego (Z dziejów Muzyki Polskiej do XVIII w.), księdza d-ra Feichta (Polska Muzyka Religijna), d-ra S. Barbaga (Polska Pieśń Artystyczna), Z. Latoszewskiego (Z Dziejów Opery Polskiej), d-ra Reissa (Dzieje Symfonji w Polsce) i dr. S. Łobaczewskiej (Muzykologja Polska).

Książka, wydana nadzwyczaj starannie pod względem formy zewnętrznej, zawiera 155 udatnie wykonanych ilustracyj. Wadą tego dzieła jest niedość ściśle przez organizatora tomu przeprowadzony podział tematów pomiędzy autorów. Powstają dzięki temu dłużyzny, jedną i tę samą rzecz powtarzają czytelnikowi pisarze po parę razy. Możnaby tego uniknąć, ograniczywszy umiejętniej teren poszczególnych referatów.

Wady powyższe nie umniejszają jednak ani wartości ani znaczenia wydawnictwa. Daje ono przegląd wyraźny i jasny historji naszej muzyki, umie przejść do porządku nad rozgoryczeniem poszczególnych szkół, czy szkółek, dążąc do syntetycznego ogarnięcia całości.

Muzyka polska zapowiada przez swego redaktora, że rozwinie się w cykl wydawniczy, który poszczególne momenty, szkoły i kierunki muzyczne w następnych tomach szerzej uwzględni. Przyklasnąć należy gorąco tej inicjatywie, zasługującej ze wszech miar na poparcie.

Skoro jednak mowa o muzyce naszej, zwrócilibyśmy uwagę Redakcji na dział, który winna uwzględnić wswym historycznym przeglądzie a mianowicie na współpracę z kompozytorem polskim polskiego wirtuoza. Dziedziny te uzupełniają się wzajemnie, niejednokrotnie a nawet rozwój pewnych gałęzi twórczości uzależniał się od rozwoju wirtuozowskiego kunsztu. Wirtuoz nasz oddawał kompozytorowi polskiemu zawsze znakomite usługi, jakże często z partykularza „prowincji" wyprowadzając muzykę polską na szeroki świat.

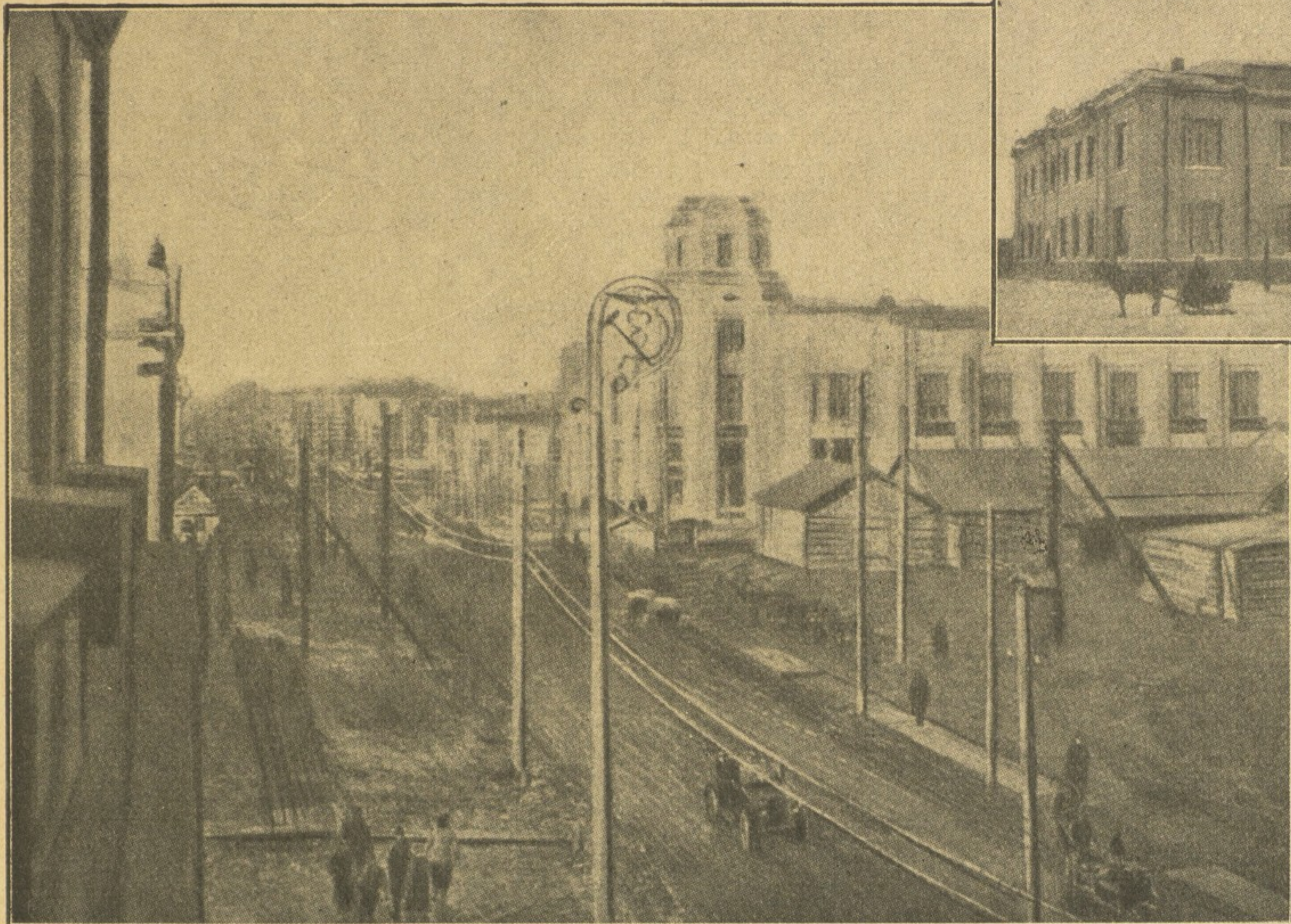
*
* *

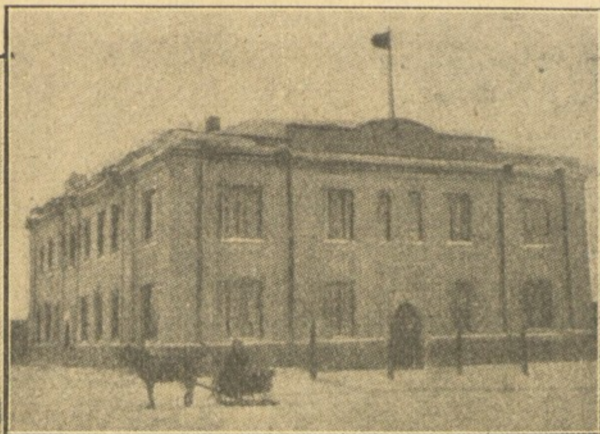
Dwudzieste drugie wydanie „Vade Mecum" B. Domaniewskiego ukazało się na półkach księgarskich. Jest to sukces, jak na nasze stosunki, niebywały, sukces, którego powinszować należy wydawniczej firmie Gebethnera i Wolffa.

„Vade Mecum" Domaniewskiego w postaci całego szeregu nader umiejętnie ułożonych wprawek prowadzi ucznia od najprostszych trudności fortepianowej gry do wirtuozostwa. Można się nie zgadzać z teorją inercyjnej gry, której tak świetnym zwolennikiem był znakomity pedagog i pianista. Zbiór palcówek i ćwiczeń Domaniewskiego jest jednak doskonale wybrany, bez względu na to, czy aplikować się będzie te ćwiczenia sposobem inercyjnym, czy też z zastosowaniem usilnej pracy palcowej. Znakomity pianista przewidział tu wszystkie problemy nowoczesnej techniki palcowej, dzięki czemu sumienne przerobienie przez ucznia „Vade Mecum" oszczędza mu wiele niepotrzebnych etiud i mozolnej pracy nad mało wartościową literaturą fortepianową, mającą jedynie na celu pokonanie pewnych trudności technicznych.

jk

Syberja—Kraina Przyszłości





Dom Koncernu Przemysłowego Niemieckiego w Nowo-Sybirsku



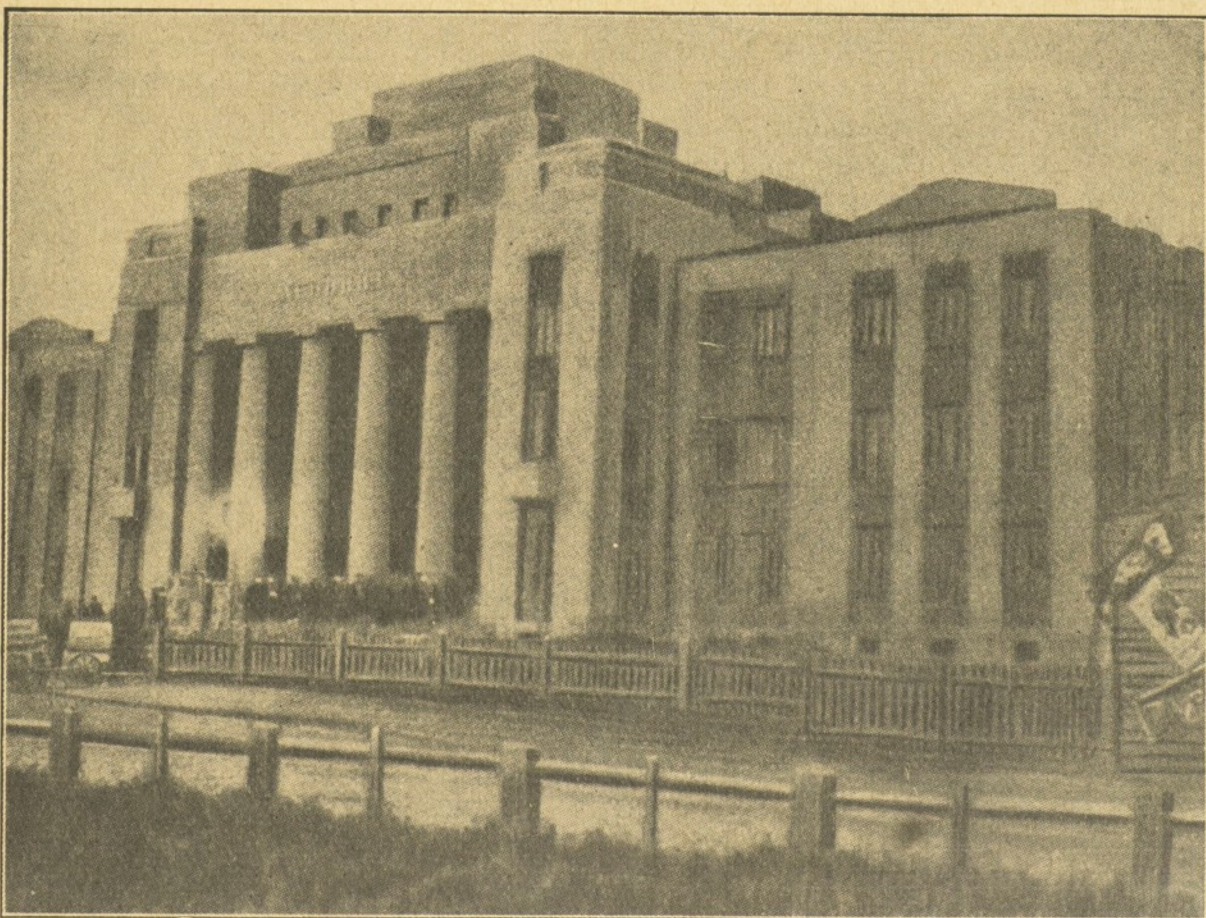
Nowa ulica w Nowo-Sybirsku: jest zelektryfikowana i posiada tramwaje

Syberja dla nas polaków jest krainą łez. Niema rodziny w Polsce, by nie posiadała we wspomnieniach swoich przykrych ech, pochodzących z tego dalekiego kraju. Jest to jednak bogata a niewyzyskana połać kontynentu azjatyckiego. Zawdzięcza ona cywilizacyjnie bardzo dużo polakom - zesłańcom. Później i nasi inżynierowie, prawnicy i lekarze, nie znajdujący zajęcia w ojczyźnie, zmuszeni byli pracować w tym kraju. Ich praca również dźwignęła poziom przemysłowy i kulturalny Syberji.

Rewolucja rosyjska zniszczyła wiele cennych urządzeń przemysłowych i cywilizacyjnych w tym kraju. Kraj nie przestał być jednak zasobny w surowce, futra, drzewo, ryby. Na kilometrze kwadratowym w Syberji mieszka tylko 2 ludzi! Życie jest więc stosunkowo łatwe i pozwala na daleko idącą inicjatywę.

Komuniści rosyjscy z tej racji dla celów agitacyjnych postanowili wyzyskać bogactwa naturalne i stosunki sielskie, panujące na Syberji. Ich propaganda po całym świecie trąbi o „Syberji — kraju przyszłości". Nigdzie podobno na świecie nie odbywa się teraz tak gwałtowna ewolucja stosunków życiowych, jak na Syberji. Miasta wyrastają, jak grzyby po deszczu.

Rozpowszechnia się więc fotografie miasta „Nowo - Sybirska", które rozbudowuje się iście po-amerykańsku. Przed trzydziestu laty była tu wieś. Za czasów caratu zaledwie miasteczko. Zwało się Nowo-Nikołajewsk. Miasto to znajduje się nad rzeką Ob. Domów murowanych nie można było odnaleść ze świecą. Teraz stawia się tam olbrzymie gmachy, przeważnie za niemieckie pieniądze i dla niemieckich przedsiębiorstw eksploatacyjnych. Kapitał więc niemiecki rozwija teraz społeczne urządzenia komunistycznej Syberji.



Nowo-Sybirsk: dom ludowy im. Lenina

POŻYCZKA

„—...bo ja nie znoszę pożyczek. Ta pożyczka podoba mi się wyjątkowo. Nie dlatego, że moje akcje idą w górę, ale dobrobyt kraju... złoty polski, i wogóle. Podobno dostaniemy nowe pożyczki. Ale, gdy o tem już mowa, przyznam się, że nie znoszę pożyczek, i z okazji pożyczki nikomu nie pożyczę. Możecie mówić, że jestem sobkiem. Możecie mnie uważać za człowieka nieuczynnego, niekoleżeńskiego, dusigrosza, sknerę, a nie pożyczę! I radzę wam: nie pożyczajcie. Mojem zdaniem, człowiek rozsądny, szanujący się i któremu zależy na dobrej opinji, nie powinien nikomu pożyczyć nawet stu złotych! Nie wierzycie? Więc opowiem wam historję prawdziwą, podzielę się mojem własnem doświadczeniem.

„Otóż miałem przyjaciela z dziecinnych lat, kolega ze szkolnej ławy, towarzysz z frontu. Pamiętacie Kazia? Kochaliśmy się, jak bracia, nie mieliśmy dla siebie żadnych tajemnic i t. d. Otóż pewnego dnia przychodzi do mnie Kazio. Ma minę zafrasowaną:

— Słuchaj, mój drogi, znalazłem się w przykrem położeniu i ja, który nigdy dotąd nie pożyczyłem sobie od nikogo złotówki....

— Po co te wstępy. Ile ci potrzeba, służę ci chętnie, jesteś moim najlepszym przyjacielem.

— To niewielka suma. Ale mam zasady i nie znoszę... gdyby nie to, że muszę dziś jeszcze mieć dwieście złotych.

— Dwieście złotych, niewielka cyfra.

— Oczywiście drobiazg... — mówi Kazio.

— Więc proszę cię.

— Zwrócę ci po pierwszym. Tymczasem weź pod zastaw mój sygnet.

Obraziłem się:

— Widzisz, jak mi utrudniasz — mówi Kazio i jest jeszcze bardziej obrażony.

— Więc mam od przyjaciela za drobną przysługę koleżeńską brać „fant". Dlaczego nie idziesz do lombardu, daliby ci pięćset złotych.

— Nie chcieli mi dać nawet pięćdziesięciu.

Roześmieliśmy się, Kazio się udobruchał i wziął dwieście złotych.

— Pamiętaj, zwrócę ci zaraz po pierwszym.

— Niema gwałtu, możesz mi zwrócić, kiedy ci będzie wygodnie.

Nazajutrz spotkałem go w cukierni. Zwykle siadywaliśmy razem, ażeby przeczytać dzienniki od deski do deski i przeprowadzić dysputę polityczną, która nam zaostrzała apetyt, a następnie szliśmy razem na kolację. Ale tego dnia przywitał się tylko ze mną i powiedział, że jest zajęty. Przestał uczęszczać do „Lourse'a", unikał fryzjera, u którego spotykaliśmy się, i przestał przychodzić do „Europejskiego" na kolację. Myślałem początkowo, że jest zajęty, ma romans, zapisał się do partji. Ale nie! Widywano go w innej kawiarni, przeniósł się do innej restauracji! Spotkałem go po kilku tygodniach na ulicy. Ukłonił mi się niechętnie. Biedak — pomyślałem — nie może mi zwrócić tych dwustu złotych i wstydzi się. Więc przystąpiłem do niego:

— Słuchaj Kaziu, widzę, że mnie unikasz, bo nie możesz mi zwrócić dwustu złotych. Otóż te pieniądze nie są mi potrzebne, doprawdy, mogę zaczekać i miesiąc, i dwa, i trzy.

— Przypuszczasz, że jestem nędzarzem.

Nazajutrz odesłał mi dwieście złotych i przestał mi się kłaniać".

*

Historja ta opowiedziana w gronie przyjaciół zrobiła wielkie wrażenie.

— Jesteś szczęśliwym wyjątkiem. Przy pierwszej pożyczce nauczyłeś się nie pożyczać. Straciłeś przyjaciela, ale nie straciłeś dwustu złotych. Ja jestem człowiekiem miękkiego serca i nie mam zasad. Pożyczałem niejednokrotnie. Nigdy mi nie zwracano, i także zrywano ze mną znajomość.

— Jesteś szczęśliwym wyjątkiem.....— powtórzył chór.

*

„—.... miałem przyjaciela, a przyjaciel mój miał żonę. To była miła kobieta. Spotykaliśmy się czasem w teatrze, grywałem u nich w bridge'a. Stosunki towarzyskie. Byli bardzo szczęśliwi i ja byłem człowiekiem szczęśliwym. Otóż któregoś dnia telefon do mojego biura:

— Panie Władysławie, mam do pana szaloną prośbę!

— Służę pani!

— Powołując się na pańską przyjaźń z moim mężem, proszę pana o wielką grzeczność. Otóż musi mi pan pożyczyć pięćset złotych.

— Pięćset złotych?

— Właśnie... rachunek... pan rozumie... ale oddam panu za miesiąc..

Pożyczyłem.

Pożyczyłem. Pieniędzy mi nie zwrócono. Mąż wyzwał mnie na pojedynek i zmusił mnie do ożenienia się ze swoją żoną. Byłem człowiekiem szczęśliwym..."

*

— Różnie bywa, ...ale fakt faktem, nie mogę ścierpieć autorów, u których bodaj raz zaciągnąłem pożyczkę ...literacką" — skarżył się dziennikarz.

H. J.



ZE ŚWIATA FILMU

Wróżby i horoskopy. „Zew morza" i „Bestja morska".

Jak ja to widzę?

W naszym światku kinematograficznym ruch. Wkrótce rozpoczną się prace komisji międzyzwiązkowej, która w myśl zleceń pierwszego wszechpolskiego Zjazdu Kinematograficznego przystąpi do organizacji produkcji filmu kulturalno-oświatowego. Również i Związek Zrzeszeń Teatrów Świetlnych powołuje do życia komisję, złożoną z najwybitniejszych przedstawicieli Władz oraz znawców kina, której przeznaczeniem będzie czuwanie nad sprawami kulturalno - artystycznemi kinematografji. Wreszcie, na wiosnę prawdopodobnie, powstanie Centralny Urząd Filmowy, po którym obiecujemy sobie, że da podwaliny pod racjonalną politykę podatkową i że roztoczy specjalną pieczę nad polskim przemysłem kinematograficznym i szczególniej nad polską wytwórczością.

Ach, ta polska wytwórczość! Ileż nam to niemowlę rozkosznych trosk i kłopotów przysparza i jakim olbrzymim ciężarem obarczamy jego wątłe barki! Zbieramy się za każdym razem, gdy się narodzi takie zatracone maleństwo, wokół ekranu niczem wokół srebrnej kołyski, — przybieramy się w togę surowych doktorów filozofji kinematograficznej, i zwalamy na biedne chucherko odpowiedzialność za wszystkie siedem grzechów śmiertelnych, oraz za tyleż cnót. Czynimy źle. Należy bezwzględnie gorąco popierać film polski i jak najpoważniej się doń odnosić, ale przytem warto sobie uświadomić, że mamy do czynienia z bardzo pierwotnemi dziełami sztuki niemej. Zachwycamy się zazwyczaj w polskim filmie ładną fotografją, dobrem oświetleniem, jakąś udaną sceną mimiczną, może słusznie. Nie zapominajmy przecież, że chodzi głównie nie o te organiczne cechy dobrego filmu, lecz o ogólny charakter artystyczny, o ogólną ideę artystyczną, której, niestety, polskiemu filmowi brak najwięcej.

Te uwagi nasuwają równoczesne przyjrzenie się dwóm morskim filmom: „Zewowi morza" p. H. Szary (Casino i Apollo) i „Bestji morskiej" z Barrymorem, wyświetlanej obecnie w „Colosseum". „Zew morza" jest sfotografowaniem szeregu wycieczek i przygód garstki ludzi, ale brak mu węzła dramatycznego, brak mu tej gry namiętności i różnorodności przejawów niemej sztuki, która jest duszą filmu amerykańskiego.

I dlatego trzeba powtórzyć raz jeszcze: Walczmy nie o film polski, ale o polski film artystyczny! Dość długo już terminowaliśmy i dość długo pozwalaliśmy szerokiej publiczności cieszyć się samym widokiem znajomych twarzy w polskim filmie, — cieszyć się tem, że dziecko marszczy nosek i że wierzga nóżką. Dzisiaj mamy prawo żądać od naszych reżyserów dzieł na większą miarę. Mamy prawo żądać od nich większych ambicyj artystycznych. I nie wątpimy, że twórca „Zewu morza" tych naszych oczekiwań nie zawiedzie.

Anatol Stern

TURNIEJ TENNISOWY O MISTRZOSTWO KALISZA



Grupa zawodników wraz ze zwycięzcą por. Kiernożyckim x (mistrz Kalisza)

Fot. „Engel"

Tydzień sportowy

Legja zawiodła — Nieoficjalna koronacja mistrza ligi — Nowa konkurencja sportowa w Polsce.

„Piłka nożna" jest dziwnym sportem. Przyjęła się na całym świecie. Jest najdostępniejszą i najdemokratyczniejszą grą sportową, jednem z najbardziej „teatralnych" widowisk. Dziwność jej polega na tem, że będąc grą zbiorową, zależna jest zupełnie od stanu psychicznego i nerwowego jedenastu ludzi, którzy łącząc swoje umiejętności gry w zbiorową wolę, stanowią tę „jedność w wielości", siłę działającą.

„Aparat" ten jest dlatego bardzo skomplikowany i kapryśny. Poziom drużyny, jej idealną wartość piłkarską można określić średnią arytmetyczną dyspozycji piłkarskiej każdego poszczególnego gracza. Najciekawsze, że to subtelne pomimo przysłowiowej brutalności piłkarstwa zjawisko psychiczno-optyczne jest czemś zupełnie płynnem, istnieje w ruchu, przez półtorej godziny, chwilowe, przelotne i zmieniające swój kształt, jak miraż obłoku na niebie.

Zademonstrowała to wszystko „świetnie" ubiegłej niedzieli Legja warszawska na meczu z górnośląskim Ruchem.

Najlepsza technicznie i taktycznie drużyna stołeczna zależna jest jeszcze od jednego czynnika, który w innych zespołach „nie ma miejsca", mianowicie od humoru i dobrych, lub gorszych chęci środkowej trójki napadu. Nawrot, Łańko i Ciszewski, wychowankowie Cracowii, stanowią jej stos pacierzowy. Jeśli on danego dnia zawiedzie, cała drużyna jest gorsza o klasę i pozostała ósemka graczy, pracując najsumienniej, nie może mieć wielkiego wpływu na wynik. Tragiczna bezsilność!

Na omawianym meczu wszystkie cechy niedociągniętej gry widoczne były, jak na dłoni. Zaczęło się zawsze od złych i niedokładnych podań. To zniechęca wzajemnie graczy.

Startują do piłki o ćwierć sekundy za późno. Przeciwnik wyzyskujący ten mikroskopijny i trudny nieraz do wzrokowego zanotowania odcinek czasu ma odrazu przewagę. Skąpa ilość sytuacji pobramkowych, wynikająca konsekwentnie z takiego przebiegu gry — decyduje o wyniku. Żeby strzelić np. pięć bramek, potrzeba na to przynajmniej z pięćdziesiąt dogodnych momentów, które przesiane przez dokładność interwencji obrony, bramkarza i precyzyjności strzałów atakującego napadu, dają znikomy stosunkowo procent pewnych bramek.

Dlatego momenty te są tak trudne i drogocenne. Stanowią one namacalną rzeczywistość piłkarską. Istnieją, muszą dać bramkę, nieuchronną i nieodwracalną. Mają cechy materjalne. Są jedyną wartością stałą w płynności piłkarstwa.

Bardzo ciekawym problemem, (w pozbawionej napozór „duchowości" grze w piłkę nożną) jest kwestją lepszej lub gorszej gry danego dnia

Co jest powodem, że ta sama jednostka, która tydzień temu pokonała tak pięknie 5 : 0 silniejszego i naogół b. dobrego przeciwnika, jakim jest katowicki I. F. C., tym razem z daleko słabszą drużyną uzyskała zaledwie wynik nierozstrzygnięty 1 : 1. A nawet mogła przegrać!

Pewnem wytłomaczeniem tego najtrudniejszego do wyjaśnienia pytania jest siła atrakcyjna przeciwnika. Zależy ona nietylko od jego zdolności technicznych i bojowych. Sensacji spotkaniu dodaje rów-

MIĘDZYKRAJOWE ZAWODY W PIŁCE NOŻNEJ WE LWOWIE



Westfalja—Lwów. Reprezentacje klubów i Nadrenji. Przywitanie

nież atmosfera, która je poprzedziła. I. F. C. dopinguje ambicje polskich drużyn. Stawiają sobie one za punkt honoru (nie zawsze zresztą dotrzymywany), żeby w spotkaniach z niemcami katowickimi wyjść z jaknajlepszym wynikiem.

Tymczasem Ruch, to przeciwnik „jałowy", pozornie zresztą, na którym trzeba odrobić dwa punkty.

Napewno znalazłaby daleko więcej powodów niedociągnięć w tym splocie drgających nerwów, jakim jest mecz piłkarski. Dokładne zanalizowanie i wniknięcie w najdrobniejsze szczegóły tego zjawiska mogłoby być bardzo ciekawe, jako studjum psychologiczne, zupełnie nowe zagadnienie, temat nie wyzyskany. Niestety, szczupłość miejsca nie pozwala na to.

Na meczu Legji z Ruchem jeszcze raz przekonaliśmy się, że piłka nożna jest bardzo ciekawem, emocjonującem i pięknem widowiskiem, o ile gra stoi na najwyższym poziomie. Zły mecz jest nieprawdopodobnie nudny, nużący, irytujący i bezsensowny. Nabiera wszystkich cech bezmyślnej lataniny i kopaniny.

Tak beznadziejnie jednak nie było. W każdym razie mecz przeszedł zupełnie bez wrażenia, a od Legji wymaga się już dzisiaj miłych wspomnień na jałowym terenie footballu warszawskiego.

Ubiegła niedziela była dniem ostatecznej, chociaż nieoficjalnej koronacji na tegorocznego mistrza Polskiej Ligi Piłki Nożnej.

Krakowska Wisła rozegrała swój ostatni w tabeli 26 mecz. Tym razem przeciwnikiem jej była lwowska Hasmonea, która na kilkanaście minut przed końcem prowadziła 2 : 1. Wisła jednak zdążyła jeszcze wyrównać, zdobywając w ten sposób 40-ty punkt w tym sezonie. Teraz już nikt nie zagraża jej mistrzowskiemu tytułowi. Najgroźniejszy przeciwnik I. F. C. ma jeszcze do rozegrania dwa mecze, przy 32 punktach zdobytych. Gdyby nawet je wygrał, to i tak poza granicę 36 punktów nie wyjdzie. A kto wie, czy Pogoń, która gra z nim we Lwowie na swojem boisku, nie zepchnie go na trzecie miejsce.

Wisła tryumfuje!

Po dwudziestu latach rywalizacji z Cracovią, która spychała ją zawsze na drugie miejsce w okręgu krakowskim, nie dopuszczając przeważnie do zaszczytnego finału o tytuł mistrza Polski, doczekała się nareszcie szczęśliwej okazji, aby zadokumentować przed polskim światem piłkarskim swoje wysokie walory najrówniejszej drużyny w lidze.

Kto wie, jak te sprawy będą wyglądały w przyszłym sezonie, gdy Cracovia wejdzie do ligi na miejsce Jutrzenki.

Rywalizacja tych dwuch drużyn na terenie Krakowa może pchnąć piłkarstwo polskie na zupełnie nowe tory i przyczynić się bardzo do podniesienia ogólnego poziomu.

Cały rozkład sił ligowych może uledz zasadniczej zmianie.

* * *

Mało kto zwrócił na to uwagę, że w Polsce tworzy się nowa, bardzo ciekawa konkurencja sportowa, mianowicie zawody marszowe. Olbrzymie te imprezy, rozgrywające się nieraz na przestrzeni tysięcy kilometrów, imponują swojemi rozmiarami i technicznem przeprowadzeniem. Mamy tradycyjny marsz szlakiem kadrówki, marsz Sulejówek — Warszawa. Teraz przybywa jeszcze doroczny bieg rozstawny Korpusu Ochrony Pogranicza, organizowany po raz trzeci w tym roku.

Imprezy te mają swój specjalny wyraz i dowodzą, że w ogólnoświatowym dorobku sportowym potrafiliśmy zainicjować rzeczy zupełnie nowe.

W tegorocznym biegu rozstawnym K. O. P., który trwać będzie od 21—28 b. m. weźmie udział około 2000 ludzi, przyczem każdy z nich przebiega 800 m. Trasa wynosi 2800 klm. (!) i biegnie wzdłuż granic polsko - litewsko - niemieckiej i polsko - rumuńsko - sowieckiej.

R.

CZTERY LILIPUCIE PAŃSTWA

Istnieją w Europie cztery suwerenne państwa, mogące zazdrościć ulicy Marszałkowskiej lub nawet Chłodnej liczebności mieszkańców. Wszystkie te państwa posiadają własne armje. Sztukę wojenną uprawiają z zamiłowaniem. Nie mają reprezentantów zagranicznych, lecz tylko przez oszczędność budżetową. Gdyby chciały mieć ambasadorów, posłów, delegatów — w myśl zasad politycznych o ustroju państwowym mogłyby. Jakież to są państwa?

Przedewszystkiem księstwo Monaco. Ma wojsko złożone z 75 karabinierów i 75 zwykłych żołnierzy. Republika San-Marina: tysiąc żołnierzy, na czele których stoi marszałek. Republika Andora: armia wynosi 790 żołnierzy, księstwo Lichtenstein 700 żołnierzy. Ludności księstwo Monaco posiada 23,418, San - Marino — 12,812; Księstwo Lichtenstein 11.500 i Andora 5,231 mieszkańców.

Podczas wielkiej wojny wszystkie te państwa walczyły. Lilipucie ich organizmy nie doznały jednak takich wstrząśnień politycznych, jak w państwach dużych. Budżety szybko się wyrównały.

Z czterech tych państw lilipucich największą popularnością w Polsce cieszy się księstwo Monaco. Czemu? Czyż trudno się domyśleć?



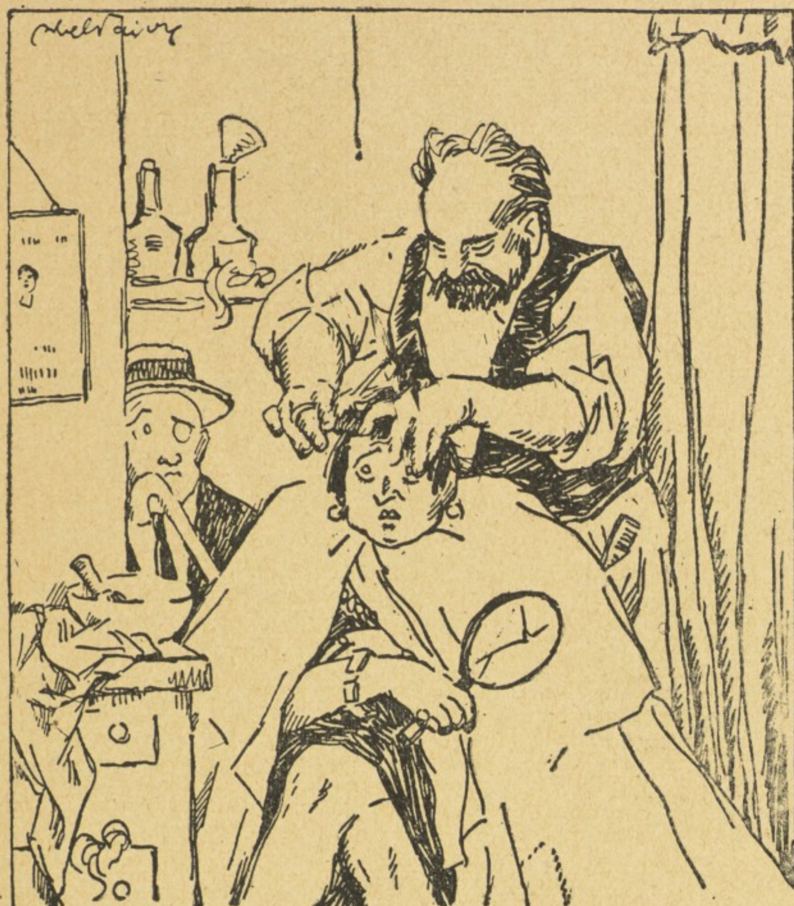
Suknia wieczorowa z białej georgette, wyszyta czarnemi pailletami, z boku kokarda z czarnego velour chiffon. Model firmy Bracia Jabłkowscy

Z MODY

Rubryka nasza miałaby na celu zobrazowanie wszelkich przejawów mody. Niestety, wielka ilość i różnorodność modeli, pokazanych nam na pokazie u Braci Jabłkowskich, przeświadczyła nas, że trud ten byłby iluzoryczny, bowiem redakcja „Świata" musiałaby wyznaczyć specjalnie na ten cel parę pełnych numerów. Zadanie to wypełnia katalog tejże firmy, wysyłany zresztą na prowincję bezpłatnie, my zaś zadowolnimy się ze swej strony podaniem dwuch naszych zdjęć.



Płaszcz wieczorowy z czarnego velour-chiffon, rękawy z lamy złotej, ręcznie malowanej, kołnierz z piór. Model firmy Bracia Jabłkowscy, Warszawa, Bracka 25



— Długie włosy zniekształcały główkę. Teraz dopiero, przy krótkich włosach i krótkich sukienkach podziwiać można w całej pełni urodę kobiet!...

TAM KUPUJCIE!

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE

Kontrakt pożyczki amerykańskiej podpisany. Pożyczka stabilizuje ostatecznie naszą walutę i otwiera drogi do napływu taniego, długoterminowego kredytu z zagranicy.

Dekrety p. Prezydenta Rzeczypospolitej o pożyczce zagranicznej i planie stabilizacyjnym zostały urzędownie ogłoszone w „Dzienniku Ustaw".

Pożyczkę amerykańską powitała cała opinja z wielkiem zadowoleniem, chociaż fachowcy niektóre jej warunki uważają za ciężkie dla Polski.

Bank Polski zmienia swój statut, by umożliwić wejście do Zarządu p. Ch. Devey'owi, naznaczonemu na przeciąg 3 lat amerykańskim doradcą finansowym w Polsce.

Nowi posłowie: rumuński p. Davila i sowiecki p. Bogomołow wręczyli p. Prezydentowi swe listy uwierzytelniające ze zwykłym ceremoniałem.

Granica polsko - czechosłowacka została ostatecznie ustalona. Następstwem będą ułatwienia komunikacyjne i gospodarcze, tak konieczne w życiu sąsiadujących narodów.

SPRAWY POLSKIE

Skargę przeciw Polsce z powodu „prześladowania" litwinów wniósł p. Waldemaras do Ligi Narodów, przecząc jednocześnie oczywistym faktom antypolskich represji w Kowieńszczyźnie.

Interwencja Ligi Narodów w sprawie litewskiej może Polsce przynieść tylko korzyści. Pomysł Waldemarasa był niefortunny, bo śledztwo wykaże istotną prawdę.

Pokojowe tendencje Polski mimo oburzających prowokacji Kowna podnosi z wielkiem uznaniem prasa europejska w szeregu poważnych artykułów.

Do wyborów sejmowych w Gdańsku stają niemcy podzieleni na 17 partji. W przeciwieństwie do tego polacy wystawiają tylko jedną listę.

Wycieczkę parlamentarzystów angielskich obwożą niemcy dla propagandy po granicy Prus Wschodnich, aby wykazać rzekome niemieckie krzywdy. Czy jednak nie przeliczą się na angielskim zdrowym rozumie?

POLITYKA ZAGRANICZNA

Sytuacja w Kownie coraz bardziej naprężona. Próba p. Waldemarasa nawiązania z sejmem stosunków zawiodła. Rząd obawia się nowego przewrotu.

Sprawa Rakowskiego zlikwidowana. Sowiety zgodziły się go odwołać. Dyplomata - agitator ma jechać do Tokio. Ale i tam pewnie nie pozwolą na komunistyczną propagandę.

Konflikt Bułgarji z Jugosławją zażegnany. Trudności udało się przezwyciężyć dzięki dobrej woli obu stron.

Ofiarą mordu politycznego padł w Pradze Tsen Beg, poseł albański w Belgradzie. Zabójcę aresztowano; jak się zdaje, był tylko narzędziem.

Z Kalotechniki

St. B. W miarę, jak włosy przestają wypadać i łupież znika, smarować skórę głowy płynem *„Bisare"* coraz rzadziej. Myć głowę wogóle najlepiej mydłem płynnym *„Pinol"*.

X. J. Najdyskretniej po zastosowaniu płynu *„Pigmin"*; przywraca stopniowo włosom kolor pierwotny. Jedyny nieszkodliwy tego rodzaju preparat. Innych nie radzimy, bo zawierają trujące sole ołowiane.

Zofji K. Być może dobry, ale nieodpowiedni. Do cery suchej należy używać krem tłusty *„Salome"*, bądź krajowy, *„Letycja"*. Udelikatnia, matuje cerę.

Wł. Z. Brwi przyciemnia niezmywalnie *„Sourcil"*.

Jadwidze K. To najnowszy sposób. Więcej wąsiki nie odrosną. Przyjazd konieczny. Kalotechnika Marsczałkowska 116. tel. 16-73.

Dr. Z. K.

PAMIĘTAJMY o higjenie urody u młodzieży. Dojrzewanie organizmu bywa często początkiem okresu marnienia cery i włosów. W zaraniu tedy rozwoju młodzieży obojga płci baczną należy zwrócić uwagę na początki niedomagań skóry twarzy i włosów. Zwalczać przedewszystkiem tłuszczenie się skóry twarzy i włosów, oraz zapobiegać tworzeniu się wągrów i pryszczy. Osiągnąć to można, myjąc twarz gorącą wodą, *proszkiem marmurowym „Miraculum"*, pudrując ją odtłuszczającym *pudrem higjenicznym D-ra Lustra* i wycierając ją wodą borową (3%) pół na pół ze spirytusem. Przeciw chorobom włosów na tle łojotokowem działa zapobiegawczo jedynie częste mycie *Shampoonem D-ra Lustra.*

Dr. Z. B.

Z dziedziny kosmetyki

Utrzymanie jędrności i elastyczności ciała

BAIN BALSAMIQUE

Jest to wyciąg z ziół, które mają własności lecznicze, a głównie dodatnio działają na mięśnie i skórę ciała, nadając jej elastyczność i jędrność.

Chcąc utrzymać ciało w stanie świeżości, po silnem przemęczeniu, wycieczkach i t. p., trzeba całe ciało natrzeć płynem *Bain balsamique.*

Jeżeli ciało jest zwiotczałe, nie elastyczne i ma pozory więdnięcia, to 1/2 flakonu *Bain Balsamique*, dodane na wannę wody do kąpieli, ogromnie ożywia skórę i nadaje jej jędrność i świeży wygląd. Zaleca się kąpiele z dodatkiem *Bain Balsamique* przy nerwowych cierpieniach, najlepiej na noc.

Dla Pań, dbających o sprężystość i elastyczność ciała, kąpiele z *Bain balsamique*, są niezastąpione.

M-m ERCEDES

Skład główny: *„Perfection"*, Szpitalna 10, Warszawa

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI — Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa